ROK IV — Nr. 43 (189)

LONDYN, 24 PAŹDZIERNIKA 1943 CENA PRICE 1s.

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

Redakcja: 229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1 (tel.: CHAncery 6128). Administracja: 9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1 (tel.: HOLborn 0868). Prenumerata: kwartalnie w Anglji 12s., w innych krajach $3. Prosimy o przekazywanie należności za prenumeratę czekiem lub „Postal Order" na zlecenie: M. I. KOLIN (Publishers), LTD.

Ogłoszenia przyjmują Advertising Offices, THE CARLTON BERRY CO., 437, Grand Buildings, Trafalgar Square, W.C.2 (tel.: ABBey 5108)

ALEKSANDER PISKOR

PROLOG DO PACYFIKU

PACIFIC PAGEANT

W Chicago było bardzo zimno, a stałe mroźne wiatry z Michiganu przenikały nawet przez futro i budziły nieprzyjemne, wprost bolesne, często gorączkowe dreszcze. Pewnego dnia obudziłem się zupełnie chory — i przekonałem sam siebie, że wreszcie nadszedł właściwy czas, aby pojechać w cieplejsze strony. Upłynął jednak jeszcze tydzień, zanim — tradycyjny na amerykańskich kolejach — murzyn wniósł moje walizki do expressu „City of San Francisco" i wskazał mi przedział. Przedział był bardzo wygodny, a chociaż na dworze panowała śnieżna zamieć, zamieniająca się czasami w deszcze, lub ustępująca miejsca mgłom i wichrom — podróż upłynęła naogół przyjemnie. Pewien poranek zwłaszcza zafascynował mnie całkowicie: do przedziału wkradło się bardzo jasne, wiosenne i szczęśliwe słońce, a gdy wyjrzałem przez okno, nie zobaczyłem nawet śladu śniegu, lecz wielkie morze zieleni. To była błogosławiona dolina Sacramento.

Nigdy nie żałowałem później, że zmieniłem trasę i że zamiast z Seattle — jak planowałem pierwotnie — zdecydowałem się odpłynąć do Japonji z San Francisco. Działo się to wszystko w drugiej połowie lutego 1939 r.: wszechświatową wystawę na Treasure Island, nazywaną ogólnie Pacific Pageant, otwarto zaledwie na dzień przedtem, nim zobaczyłem dolinę Sacramento.

Wystawa była naprawdę imponująca: pomysłowa, kształcąca, różnokolorowa i wesoła, przepojona całą symfonją różnych melodyj, transmitowanych przez liczne głośniki. Ocean Wielki żył w błogosławieństwie długiego pokoju, a kraje na jego brzegach postarały się o pokazanie w San Francisco wszystkiego co było w nich najlepsze, aby pochwalić się swoją pracą i swojemi osiągnięciami. Często zastanawiałem się nad tem: czy dzieje świata przeniosą się nad Pacyfik? I idąc wśród pawilonów amerykańskich do budynków nowozelandzkich i australijskich, mijając wieże Indochin i stylowe mostki wystawy japońskiej — miałem wrażenie, że odnajduję odpowiedź na trapiące mnie pytanie. Rzeczywiście — jeszcze nieco pracy, jeszcze nieco zgodnego wysiłku, i Pacyfik dosięgnie, a może nawet prześcignie Atlantyk.

Luty 1939 r. był bardzo pokojowym miesiącem, jeśli nie liczyć częstych alarmów prasowych na temat możliwości wojny. Ludzie stateczni na całym świecie wiedzieli jednak, że dziennikarze zawsze wymyślają różne bzdury, ponieważ układ, zawarty w Monachjum, zapewniał światu pokój na bardzo długie lata. Wojna domowa w Hiszpanji dobiegała końca, a wprawdzie Japończycy walczyli z Chińczykami, ale nikt już nie pamiętał Chin bez bitew i wszelkich możliwych konfliktów. Trudno mi było przeto przekonać moich amerykańskich przyjaciół, którzy zaprosili mnie na kilka dni do swej willi w Santa Barbara, że na naszym globie wcale nie jest tak bezpiecznie, jak się wielu ludziom zdaje. Pan domu częściowo się z tem zgadzał — był to stary i doświadczony życiowo businessman, który zwiedził wiele obcych krajów, ale czarno się zapatrywał jedynie na przyszłość Europy.

— Najbardziej kłótliwy i najniebezpieczniejszy kontynent na świecie — mówił często do mnie. — Możecie wojować na Atlantyku, na Pacyfiku do tego nie dojdzie. Pozatem cała Ameryka jest bezpieczna przed jakiemikolwiek atakami z zewnątrz — Stanom Zjednoczonym nikt i nic nie grozi, najmniej zaś Kalifornji i w niej Santa Barbara.

Przyszłość trudno przewidzieć — nie mogłem przeto powiedzieć sympatycznemu Amerykaninowi, że za niecałe trzy lata nad willą, w której dyskutowaliśmy, przelecą pociski, wystrzelone przez japońską łódź podwodną. Narazie jednak wierzyliśmy, że sielanka w Santa Barbara będzie trwała wiecznie i może dlatego — nie mając żadnych trosk — pojechaliśmy pewnego wieczoru na międzynarodowy bal, który odbył się na terenie wystawy.

W dużych salach tłoczyli się ludzie niemal wszystkich ras i narodowości, zamieszkujących różne brzegi Pacyfiku — gwar wielu odrębnych narzeczy, kontrast wyglądu i wzrostu, wschodnia powściągliwość i zachodnia prostota, wytwarzały jedyną w swoim rodzaju atmosferę. To była właściwie rewja tego wielkiego oceanu, który w w. XVI przepłynął jako pierwszy, śmiały hiszpański żeglarz, Magellan — i z tego powodu w trzy stulecia później wśród melodyj hiszpańskich tang, kręciły się pary, dobrane nieraz najbardziej kontrastowo i międzynarodowo. Ciągle przesuwały się przede mną małe Japonki z dużymi Australijczykami, ładne kalifornijskie dziewczyny ze smukłymi Malajczykami, chudzi Hindusi z dumnemi Chinkami i czarni peruwiańscy chłopcy z kanadyjskiemi blondynkami. Ale gdy orkiestra milkła, kosmopolityczne pary zwykle rozstawały się — w barze, w restauracji i na tarasach gromadziły się grupy przeważnie jednolite narodowościowo lub rasowo, które piły, śmiały się i krzyczały, bawiły się i zapominały o chwili bieżącej — same, wśród swoich, bez udziału obcych.

Gdzieś po północy nagle spostrzegłem, że w tem ugrupowaniu Japończycy stanowili przeważnie wyjątek: mieszali się ze wszystkimi, przechodzili z grupy do grupy, mówili, uśmiechali się, pilnie słuchali i proponowali dalsze cocktaile. Byłem nieco zaskoczony tem odkryciem — dopiero po chwili powiedziałem o niem Zuzannie, córce mego przyjaciela z Santa Barbara, która ogólnie uchodziła za mądrą dziewczynę, miała ładne nogi, przed rokiem skończyła uniwersytet, a w ciągu ostatniej godziny wypiła wiele „Dry Martini".

— Gosh, — odpowiedziała, szczerze się śmiejąc, — Japs are just nice little international chaps and they are trying to link up all us, different Pacific people in one community. Important job, isn't it? But don't talk more about this damned politics business.

„KAMAKURA MARU"

Departament wojny w Waszyngtonie był bardzo uprzejmy i przesłał mi zaproszenie do odwiedzenia garnizonu wojskowego w San Francisco — interesowało mnie bowiem, najbardziej ogólnie — ze względu na zamierzoną książkę o Pacyfiku — również zagadnienie obrony zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. W piękny, ciepły i wiosenny dzień pojechałem samochodem do malowniczego parku Presidio, w którym rozlokowano różne oddziały wojskowe. Wartownik w bramie nie zainteresował się ani zaproszeniem, ani mojemi dokumentami osobistemi, ponieważ do jego obowiązków należało — jak zwykle — jedynie regulowanie ruchu. Po dłuższem błądzeniu po różnych drogach, mijając liczne wojskowe zabudowania, dotarłem wreszcie do budynku, w którym mieścił się sztab; czekał tam na mnie bardzo miły i uprzejmy major. W ciągu paru następnych godzin zwiedziłem w jego towarzystwie cały olbrzymi park wraz z szeregiem instytucyj i urządzeń wojskowych, potem zatrzymaliśmy samochód, aby porozmawiać spokojnie patrząc na cud techniki XX w.: ogromny wiszący most nad cieśniną Złotej Bramy.

Byłem pod wpływem przyzwyczajeń europejskich — dlatego dziwiła mnie łatwość, z jaką każdy człowiek mógł się dostać na tereny wojskowe i wędrować przez nie bez żadnych przeszkód. Ale uprzejmy major wyjaśnił mi to odrazu: czasy pokojowe, brak wrogów, zresztą któż może się interesować rozmieszczeniem wojsk w San Francisco? Major należał niewątpliwie do pokolenia pacyfistów i rolę wojska pojmował raczej jako konieczność przestrzegania tradycyj wojennych z dawnych czasów, chociaż były one obecnie — przynajmniej na amerykańskiej ziemi — bez większego użytku. Skolei zwrócił moją uwagę na wzgórza przy wejściu do zatoki San Francisco i objaśnił ich urządzenia obronne, ponieważ nie stanowiło to żadnego sekretu.

— Naturalnie ustawiono tam kilka bateryj, ale raczej dla spełnienia formalności. Kilkanaście starych armat — to zupełnie wystarczy.

— A jak z mostem? — zapytałem.

Zapewnił mnie, że w tej sprawie można być zupełnie spokojnym — nie do pomyślenia jest, aby ktoś chciał go kiedykolwiek i w jakikolwiek sposób zbombardować.

W dwa dni później przepływałem pod tym mostem na wielkim, transatlantyckim japońskim statku „Kamakura Maru". Od chwili wyjazdu z portu zrozumiałem odrazu trafność dowcipu, usłyszanego przed paru miesiącami w New Yorku. „Jak odróżnić podróżującego po Ameryce Japończyka od Chińczyka?" — brzmi zapytanie. „Wyglądają tak samo, — następuje odpowiedź, — ale ten, który ma ze sobą aparat fotograficzny, jest Japończykiem". Japoński tłum zalegał rzeczywiście cały pokład, i setki kamer wszelkiego rodzaju — od skromnych kodaków do skomplikowanych aparatów filmowych — nastawiały swoje objektywy we wszystkie strony. „Golden Gate Bridge" — w całej swej estetycznej i strategicznej doskonałości, we wszystkich szczegółach, z różnych stron i w różnych ujęciach został utrwalony na licznych płytach i filmach, uwożonych na pamiątkę do Japonji.

— Jaki ładny widok — powiedziała do mnie młoda, roześmiana Japonka, fotografująca bez przerwy.

— Czy w Japonji są też takie mosty? — zapytałem uprzejmie.

— Tak dużych niema, — odpowiedziała, — a istniejących nie wolno fotografować.

Ładny widok jest oczywiście skromnem określeniem w stosunku do Honolulu, które wyrosło z oceanu wczesnym rankiem w pięć dni później na tle fantastycznie zielonych gór i ze słynną wieżą Aloha na molo portowem. Po roku — i po zwiedzeniu Dalekiego Wschodu, oraz Australji i Nowej Zelandji — miałem zamiar powrócić do tego miasta i w jakimś małym domku obok jasnopiaszczystej plaży, zalewanej pieniącemi się falami wiecznie ciepłego morza, napisać książkę. Jednak po wyjściu z okrętu poczułem się tak, jak gdybym był już w Japonji, ponieważ port, ulice, całe miasto roiło się dosłownie od tłumu małych, skośnookich ludzi, którzy z największą godnością wykonywali różne prace. Japoński oczywiście szofer obwiózł mnie w ciągu kilku godzin po znacznej części wyspy Oahu, udzielając bardzo dobrą amerykańską angielszczyzną wszelkich informacyj o krajobrazie i mieszkańcach, o miastach i drogach, a nawet dość szczegółowo o fortyfikacjach i strategicznych punktach mijanych wybrzeży. Czuł się on na wyspie zupełnie jak u siebie w domu — podobnie jak 120 000 innych jego rodaków — ale z rozrzewnieniem wspominał również Nagasaki, gdzie spędził jako chłopiec, urodzony obywatel amerykański, kilkanaście lat u swojej prababki. Wielebny Peter O'Connor, pastor z St. Louis w podróży naokoło świata, i Miss Takeo Suzuki, młoda pianistka, wracająca po ukończeniu studjów z Nowego Jorku do Kjoto, którzy byli w samochodzie, żałowali, że nie mogli sfotografować całej wyspy, a zwłaszcza pobliskiej Pearl Harbour, ze stojącemi na jej wodach, majestatycznemi okrętami amerykańskiej floty wojennej. Szofer potwierdził: ten widok jest naprawdę imponujący — należało mu wierzyć, ponieważ w ciągu kilku lat pracował w samej bazie i znał ją doskonale. Nie mieliśmy jednak czasu na dalsze wycieczki i wobec tego usłuchaliśmy jego rady, że najlepiej kupić gotowe zdjęcia, jeśli się zbiera pamiątkowe fotografje z całej podróży.

Na przedmieściu Honolulu, w małym japońskim sklepie fotograficznym, za cenę 2 dolarów 75 centów, stałem się przeto zupełnie otwarcie i legalnie posiadaczem 11 dużych i pięknych zdjęć, przedstawiających różne fragmenty amerykańskiego systemu obronnego na wyspie Oahu. Zdjęcia Pearl Harbour były doskonałe — i jak zaręczał sam fotograf, wysoki Japończyk ze złotemi zębami, zrobiono je zaledwie przed tygodniem, natomiast fotografje Diamond Head pochodziły sprzed sześciu miesięcy, ale „od tego czasu nic się tam nie zmieniło". Musiałem wierzyć jego autorytatywnym zapewnieniom, a uważając, że do moich zbiorów wystarczą nabyte zdjęcia, zrezygnowałem z kupna innych z tej samej serji, bardzo ciekawych i zaofiarowanych na sprzedaż w dużym wyborze.

Jako Europejczyk wyobrażałem sobie, że Honolulu od rana do późnej nocy rozbrzmiewa hawajskiemi melodjami i pieśniami, ilustrowanemi miejscowemi, znanemi dobrze z filmu, tańcami.

— Nic podobnego, — odpowiedział mi dziennikarz amerykański, mieszkający stale w Honolulu, z którym zjadłem lunch w „Royal Havaian Hotel", — dziewczyny hawajskie występują głównie w Nowym Jorku, San Francisco, Hollywood i Hawanie — może jeszcze gdzieindziej — i tam właśnie najlepiej je oglądać. Tutaj urządza się przedstawienia dla turystów, najczęściej podczas głównego sezonu, ale dzisiaj nic się w tym rodzaju nie odbywa. Natomiast mamy tutaj obecnie prawdziwą sensację artystyczną: ciekawe występy baletu rosyjskiego, radzę to panu koniecznie zobaczyć jeszcze dziś wieczorem.

Wieczorem jednak odpłynąłem na „Kamakura Maru", oczarowany wyspą Oahu, na której zasadniczo łatwiej było o obejrzenie manewrujących krążowników, niż tańczących dziewcząt miejscowych — z postanowieniem, że sczasem na nią wrócę i spróbuję zobaczyć bezpośrednio obie atrakcje.

Na wody zatoki tokijskiej wpłynęliśmy popołudniu w dziesięć dni później — i wkrótce można było zobaczyć strome, urwiste wybrzeża, pokryte karłowatemi sosnami — widok dość dobrze znany z pocztówek, na których posyła się znajomym w kraju szablonowe pozdrowienia. Na całym statku rozplakatowano obwieszczenia, zawiadamiające, że statek znajduje się w zonie ufortyfikowanej i że wszelkie fotografowanie lub szkicowanie jest wzbronione pod groźbą surowych kar. Zatoka tokijska ściślej strzegła swoich sekretów niż zatoka San Francisco — i w tem kryła się różnica pomiędzy światem, który opuściłem, i światem, do którego zdążałem. Wkrótce zaczęło zachodzić słońce, niebawem skryło się za jakiemiś wzgórzami — i wtedy pomyślałem po raz pierwszy, że z równem powodzeniem można nazwać widziane wyspy krajem „zachodu", a nie „wschodu słońca", ponieważ wszystko zależy od spojrzenia z odpowiedniej strony. Na pokład wylegały tymczasem nieznane przedtem tłumy japońskich pasażerów trzeciej klasy, ubranych przeważnie w narodowe stroje — i z powagą i spokojem ustawiały się w długie szeregi. Ktoś dał znak: wszyscy skłonili się w kierunku pałacu cesarskiego w Tokjo, a później zaśpiewali tęskne zwrotki „Kimigayo", japońskiego hymnu narodowego. Japończycy z pierwszej i drugiej klasy, — których większość była obecnie również w długich kimonach, — przyłączyli się niezwłocznie do coraz bardziej potężniejącego chóru.

Na przystani w Yokohamie stał inny, bardzo wielki tłum, który w skąpem oświetleniu wyglądał tajemniczo i wymachiwał chorągiewkami, przedstawiającemi czerwone koło na białem tle — czekając na przybyłych. Mimo tak dużego natłoczenia ludzi, było dość cicho, a manifestacja radości spowodu spotkania objawiała się w milczeniu, przerywanem od czasu do czasu jakimś spazmatycznym, teatralnym i dramatycznym krzykiem. Wśród odkryć, który każdy robi podczas podróży, zrozumiałem tego wieczora, patrząc na Japończyków na statku i na przystani, że napewno nie są oni narodem „międzynarodowym" — ich zachowanie i postawa świadczyły raczej o ich zamknięciu się w sobie i krańcowej odrębności od innych. Czy była to jedynie odrębność wychowania, zwyczajów i etykiety? Na to pytanie należało sczasem odpowiedzieć, ale już na pierwszy rzut oka można było dojść do wniosku, że byli oni elementem, który nie mógł łączyć narodów Pacyfiku, ponieważ stał na uboczu ludzkości — ze swem skupieniem, tajemniczością i nieodgadnionemi zamiarami. W San Francisco widziałem Japończyków wykształconych i wypolerowanych, zachowujących się z nonszalancją zawodowych kosmopolitów — w Yokohamie, wraz z włożeniem kimona, wszyscy oni pozbywali się obcych naleciałości i stawali się takimi, jakimi ukształtowała ich przeszłość i oparta na tradycji teraźniejszość. Był to jednak dopiero koniec podróży na „Kamakura Maru" i moje pierwsze zetknięcie się z Japonją — nie wiedziałem przeto napewno, jacy naprawdę są jej mieszkańcy.

Po chwili zjawiła się na statku policja, aby zacząć załatwiać formalności paszportowe, potem przyniesiono gazety, które każdy mógł wziąć z lady w „Enquiry Office". Od dwóch dni nie ukazywał się radjowy biuletyn okrętowy, nie wiedziałem przeto dobrze, co się dzieje na świecie. Prawda wydarzeń przyszła nagle z łamów wieczornego „Japan Times"a, skąd duże tytuły wołały: „Hitler dziś w Pradze". Początkowo trudno w to było uwierzyć, ale długa lista wydrukowanych depesz nie nastręczała żadnych wątpliwości. Widoczne było, że historja globu działa się wciąż na atlantyckim kontynencie i że świat stał u progu jednego z największych swoich kryzysów. Wydarzenia miały efekt piorunu: zasadniczo oczekiwany, ale przez to nie mniej przeraźliwy, a wizja „złotej Pragi", jednej z wielkich stolic świata słowiańskiego, zapełnionej kolumnami maszerujących żołnierzy niemieckich, była smutna i bolesna. Niepokój o los Polski wyrastał automatycznie — pytali mnie również o to, przybyli na statek, liczni japońscy reporterzy. Notowali pilnie wszystko — poczem jeden z dziennikarzy powiadomił mnie skolei o reakcji Japonji na ostatnie wypadki w Europie. Poselstwo czechosłowackie w Tokjo już się likwidowało i przekazywało swe agendy miejscowej ambasadzie niemieckiej — stosownie do życzeń cesarskiego rządu. I to była pierwsza bezpośrednia wiadomość, którą uzyskałem o japońskiej polityce od Japończyka w Japonji.

MISS SYJAM

Około północy tego samego dnia elektrycznym pociągiem dotarłem z Yokohamy do Tokjo, a taksówka zawiozła mnie do Hotelu Imperial. Czy znacie ten hotel? Jeśli nie — tem gorzej dla was, ponieważ stosownie do „oficjalnego przewodnika po cesarstwie japońskiem", sława jego promieniuje między Suezem i San Francisco, a pozatem jest on „jedyny w swoim rodzaju na całym świecie". Niewątpliwie w tem określeniu kryje się wiele prawdy: jego amerykański twórca rozumował, że Japonja jest krajem egzotycznym i że musi posiadać egzotyczne budynki. W rezultacie powstał szereg pawilonów, pełnych korytarzy, schodów, zakamarków, przejść, wejść i wyjść — wzniesionych dla większej oryginalności w stylu, przypominającym dość dokładnie pałace meksykańskich Azteków. Niskie pokoje — zaopatrzone w wąskie okna, podobne raczej do strzelnic — miały tę jedyną zaletę, że można było w nich przebywać nawet podczas silnych trzęsień ziemi, ponieważ budynek odznaczał się w podobnych wypadkach słynną odpornością. Wielki hotelowy hall upodobniony został znowuż do wnętrza najbardziej szacownych mauzoleów, jakie można było zobaczyć w Ameryce Środkowej lub Południowej przed najazdem konkwistadorów. Zaraz na wstępie spostrzegłem w hallu dwie duże flagi, spływające z filarów — argentyńską oraz jakąś egzotyczną i nieznajomą.

Gdy stałem przed „Front Office" i czekałem cierpliwie na urzędnika, który wydawał jakieś polecenia w sprawie mego bagażu, do kontuaru podeszła dziewczyna, ubrana w długą, wieczorową suknię. Wróciła prawdopodobnie z jakiegoś przyjęcia i w łamanym języku francuskim próbowała innemu urzędnikowi wytłumaczyć, że nazajutrz chce jechać do Kjoto. Młody japoński chłopak słuchał jej z największą uwagą, trząsł głową i powtarzał łamaną angielszczyzną:

— Sorry, Madame, I has no French, another French clerk already sleeping.

Zaproponowałem, że będę tłumaczem — wtedy dziewczyna obróciła się do mnie, i mogłem ją całkowicie obejrzeć. Niewątpliwie była kobietą Wschodu, ale delikatne, jakby rzeźbione rysy, duże zielonkawe oczy i pełne usta miały odcień inny: nie japoński i nie chiński. Piękność jej nie sięgała może granic klasycyzmu, natomiast polegała na uroku młodości i świeżości, które zawsze stanowią ważny element kobiecego czaru. I w tej chwili, gdy zacząłem tłumaczyć jej polecenia urzędnikowi hotelowemu, nagle podbiegło dwóch Japończyków w smokingach, którzy wszczęli z nią rozmowę w jakimś nieznanym języku. Potem wydali po japońsku polecenia i odeszli wraz z dziewczyną. Na pożegnanie lekko skinęły głową i uśmiechnęła się — to było podziękowanie za moje dobre chęci.

Przez chwilę patrzyłem wślad za nią. Wtem urzędnik, źle władający angielskim, powiedział:

— She is queen. Siamese queen. Staying here, Siamese flag hanging there.

Drugi urzędnik powrócił od telefonu, zaśmiał się i poinformował mnie o całej sprawie najbardziej rzeczowo:

— Ta pani jest syjamską królową piękności — inni ją nazywają Miss Syjam. Przyjechała niedawno do Tokjo. Co roku, proszę pana, każda Miss Syjam przyjeżdża do Japonji. Dzisiaj w rannej gazecie jest długi artykuł o niej. Może pan chce tę gazetę? Proszę.

Nie była to sprawa nadzwyczaj ciekawa, i raczej automatycznie zabrałem numer angielskiego wydania „The Tokyo Nichi-Nichi". Tajemnica flag wyjaśniła się — argentyńska bowiem wisiała na cześć nowego posła, dr. Rodolfo Moreno, który, jak i ja, przybył do Japonji na „Kamakura Maru". W pokoju — już leżąc w łóżku — zacząłem czytać wręczoną mi gazetę: ostatecznie należało poświęcić nieco uwagi spotkanej pięknej dziewczynie. Wkrótce, zamiast interesować się nią, zacząłem podziwiać firmę Mitsui.

Propaganda jest wtedy skuteczna, gdy jej nikt nie dostrzega. Syjamczycy od r. 1937 kupowali coraz mniej japońskich towarów i z coraz większą nieufnością odnosili się do Japończyków wobec ich napaści na Chiny. Co roku przeto najpiękniejsze dziewczyny gromadziły się w Bangkoku, i spośród nich — dzięki staraniom i nagrodom słynnego japońskiego domu handlowego Mitsui — wybierano jedną, która jechała do Japonji w towarzystwie kilku syjamskich dziennikarzy. Wspaniałe przyjęcia, urządzane przez Japończyków na cześć królowej piękności, w telegraficznych sprawozdaniach zapełniały dzienniki w Bangkoku, i fala wdzięczności zalewała serca czytelników. Piękność i Mitsui — dziewczyna syjamska i japońska gościnność. I z wielu podobnych skojarzeń w duszy niejednego czytelnika niedostrzegalnie rodziło się nowe uczucie, które przekonywało, że należy kupować towary japońskie i że Japończycy są dobrzy. Tych wywodów oczywiście nie było w artykule, który czytałem, ale w końcowym zwrocie prawda mimowoli wychodziła najaw. Zawarta ona była w życzeniu: „Niewątpliwie tegoroczny pobyt Miss Syjam w Japonji przyczyni się do dalszego zbliżenia się dwóch wielkich azjatyckich narodów i pomoże Syjamczykom zrozumieć ducha życzliwości dla nich, istniejącego wśród wszystkich mieszkańców cesarstwa japońskiego. Zrozumienie to zaś jest niezbędne do powstania „nowego porządku" w Azji wschodniej".

Nie wiem, czy syjamska dziewczyna, przypadkowo spotkana przy „Front Office", domyśliła się, jaką rolę grała w życiu Dalekiego Wschodu. Oczywiście, była ona jedynie małym fragmentem tego życia i „nowego porządku", ale ostatecznie całość składa się z fragmentów. Gdy odkrywałem to wszystko, miałem wrażenie, że natrafiam na jakiś ślad i że ślad ten doprowadzi niebawem do dalszych i ciekawszych odkryć. Skolei próbowałem połączyć Hitlera w Pradze z Miss Syjam w Tokjo, ale narazie „łańcuch poszlak" nie był jeszcze zamknięty. Należało czekać na dalsze wydarzenia — przyszłość zapowiadała się ciekawie, niepokojąco, a nawet groźnie. Zgasiłem światło — i długo nie mogąc zasnąć wpatrywałem się w mrok nocy — pierwszej nocy japońskiej w mojem życiu — czułem, jak zdenerwowanie i niepokój wypełniały nie tylko mnie, ale także cały pokój, przekraczały ściany dziwacznego, egzotycznego hotelu, ogarniały bliskie i dalekie lądy. W pewnej chwili wszystko łagodnie się zakołysało — potem zapanował spokój i taka kompletna i dostojna cisza, że przeżyte, małe, miejscowe trzęsienie ziemi nie zrobiło żadnego wrażenia. Ale mrok w dalszym ciągu był doskonały, i wtedy — przed zaśnięciem — pomyślałem nagle, że pewnie Europę, Azję, a może i cały świat, ogarnie ciemność, podobna do tej, która mnie otacza.

ALEKSANDER PISKOR.

World Copyright Reserved

KSIĘGARNIE POLSKIE

M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

LONDON, W.C.1: 9, New Oxford St. (tel. HOLborn 0868)

EDINBURGH: 31a, Castle St. (tel. 24705)

posiadają na składzie książki polskie i angielskie o Polsce, dzienniki i czasopisma polskie, mapy, atlasy, pocztówki, widokówki, orzełki i t.p.

STANISŁAW STROŃSKI

FRANCJA I POLSKA

Po ustaleniu przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej i przez Komitet Francuski Wyzwolenia Narodowego wzajemnych przedstawicielstw, w osobach p. ambasadora Morawskiego i p. ministra Dejean, p. Morawski przybył do Algieru, p. Dejean jest w Londynie, i nowy okres współpracy wchodzi w życie.

Czy mamy, Polacy i Francuzi, coś do powiedzenia sobie w tej chwili?

Chyba to, że choć dużo się stało ostatnio, od czterech lat, jednak nic się nie zmieniło w naszej odwiecznej przyjaźni i w jej niezmiennych postawach. I Polskę i Francję dotknął ciężki los klęski wojennej, i oba kraje są dziś pod władaniem Niemiec. Oba też walczą zbrojnie, z chlubą dla swych sztandarów, o ostateczne i pełne wyzwolenie nienaruszalnych swych obszarów, po tej samej stronie barykady w zespole Narodów Zjednoczonych, oraz walczą, z poświęceniem i ofiarami nieznanemi krajom wolnym lub powolnym, w ruchu podziemnym obu krajów. Wspólne ciężkie przejścia, podobne wysiłki i walki, te same cele wyzwolenia narodowego tylko wzmacniają starą przyjaźń.

Na stosunki polsko-francuskie padł w ciągu tej wojny cień żalu. Lecz ten żal nie dzieli nas: on nas łączy. Jest to żal, że, po Polsce, również i Francja, w lepszych warunkach i w większej sile, nie zdołała odeprzeć uderzenia Niemiec.

Jak głęboko Polska odczuła klęskę Francji, my, którzyśmy wtedy byli we Francji i drugi raz przeżywali coś gorszego niż mieściło się w najgorszych przewidywaniach i co wbrew już dokonywającej się i dokonanej rzeczywistości nie chciało wejść ani w umysły ani w wyobraźnie, wiemy nie tylko po sobie samych, ale także z wiadomości, które wówczas nadeszły z Kraju. Kraj, który po wstrząsie wrześniowym 1939 zaczął nabierać otuchy, prężyć niezłomną żywotność, dostosowywać się do nowego trybu walki, — tak nam donoszono jednakowo we wszystkich ówczesnych wiadomościach bez wyjątku i bez różnicy, — po klęsce Francji w czerwcu 1940 popadł w jeszcze większe przygnębienie niż poprzednio. Wszyscy wówczas zrozumieli ile rzeczywistej i głębokiej treści, sięgającej w samą budowę Europy, jest w przyjaźni Polski i Francji i jak bardzo losy nasze są z sobą powiązane.

Nie inaczej to bowiem było niż że sama budowa Europy, z jej duchem niespokojnym Niemcami pośrodku, zalecała przymierze sąsiadów ich od zachodu i od wschodu, Francji i Polski. Rozumieli to pierwsi Piastowie, założyciele państwa, sprowadzając do Polski zakony raczej z Francji niż z Niemiec. A wieczyste przymierze Francji z Polską z r. 1573 nie zadało w pewnej mierze kłamu swej nazwie, snując się przez nasze dzieje za Sobieskiego, Leszczyńskiego, Konfederacji Barskiej, Sejmu Wielkiego, Dąbrowskiego, ks. Józefa, Czartoryskiego i wreszcie Komitetu Narodowego Polskiego w czasie poprzedniej wojny pod przewodnictwem Dmowskiego z Paderewskim i Maurycym Zamoyskim.

Dzisiaj zaś mówimy poprostu: sojusz polsko-francuski z r. 1921 trwa.

Dotrzymaliśmy sobie wzajemnie tego sojuszu, Polska przeciwstawiając się zbrojnie napadowi Niemiec 1 września 1939 i walcząc do upadłego przeciw całej sile niemieckiej, co ułatwiło Francji postawienie wojsk na granicy, a Francja, wraz z Wielką Brytanją, wypowiadając wojnę Niemcom 3 września 1939.

Tułał się we Francji wówczas, nieco przedtem a także i potem, pogląd:

— Mamy się bić o Gdańsk i o Polskę?

Trudno o pogląd dziecinniej uproszczony. To tak jakby tylko sprawa Niemcy – Polska lub może Niemcy – Rosja były istotne, a sprawa Niemcy – Francja w Europie była *quantité négligeable* dla Hitlera oraz jakby rozprawienie się na wschodzie nie miało być dla niego tylko odskocznią do rozprawienia się na zachodzie. Rzecznikiem tego rozbrajająco niemądrego poglądu okazuje się jeszcze obecnie p. Laval w swej mowie z 1 października r.b., ale to właśnie znaczy, że jest to pogląd *pour le roi de Prusse*, a nie pogląd francuski. Francja w r. 1939 odrzuciła takie rozumowanie, pozostając wierną nie tylko sojuszowi, ale także sobie i swemu dobru.

Od września 1939 do czerwca 1940, po klęsce w Kraju, Rząd Polski pracował we Francji i tam odradzały się siły zbrojne Rzeczypospolitej pod przewodem ś.p. jen. Sikorskiego. Wszyscy, którzy brali w tem udział z naszej strony, wiedzą i zawsze stwierdzą, że cała Francja, ze swemi władzami naczele, dochowała nam wówczas przyjaźni i że współpraca była zawsze bardzo dobra. W chwili wydostawania się naszego z Francji, po 17 czerwca 1940, było może coś goryczy, oprócz smutku, w tem rozstawaniu się, ale tylko bardzo ciasne głowy mogłyby nie pojmować, jakby to wszystko wyglądało przy rzeczywistej nieżyczliwości dla nas społeczeństwa i władz francuskich.

Dzisiaj Francja jest rozdwojona między dalszą walkę po stronie Sprzymierzonych a t.zw. współpracę z Niemcami, lecz któżby nie rozumiał, że to rozdwojenie znacznie pokaźniej wygląda w rozbieżności miejsc i warunków działania niż w duszach francuskich.

Zresztą powiedzieliśmy sobie z góry i raz na zawsze, że istnieje dziedzina spraw wewnętrznych francuskich, do których nam zasię a które Francuzi załatwiają i będą załatwiali sami u siebie i między sobą.

My wiemy tylko, że Polska, jak była od początku tej wojny, tak jest nadal po stronie Sprzymierzonych i w sojuszu z tą Francją, która jest nadal również po stronie Sprzymierzonych, a wszystko, co wzmacnia tę Francję w gronie Narodów Zjednoczonych jest nam dobre i po myśli.

Jen. de Gaulle nazajutrz po klęsce Francji obwieszcza dalszą jej walkę, mówimy: świetnie! Jen. Giraud, po wydostaniu się z więzienia niemieckiego, pociąga do tej walki dalsze wielkie siły francuskie, mówimy: jeszcze lepiej! Jen. Weygand, uwieziony i wywieziony do Niemiec, staje się uosobieniem prawdziwych uczuć nawet tej Francji z pod znaku zawieszenia broni, mówimy: Bogu dzięki!

Nie wchodząc przeto w wewnętrzne sprawy francuskie, patrzymy po staremu na przyjaźń Polski z Francją i na stanowisko Francji w Europie.

Stanowisko Francji w Europie: oto istota rzeczy.

W wojnie obecnej o losy Europy jest w grze wszystko od samych podstaw jej bytu i jej istoty. Czy będzie to Europa rozwijająca nadal swój żywot w duchu cywilizacji chrześcijańskiej, czy też jakaś Europa zrywająca z tym wielkim dorobkiem w imię jakichś nowych pojęć i haseł? My w gronie Narodów Zjednoczonych, walczymy o dalszy świetny pochód cywilizacji Europy chrześcijańskiej.

Tej zaś Europy niema bez Francji.

Udział Francji w dziele cywilizacji europejskiej — od dwu tysięcy lat równo gdy wyprawa Juljusza Caesara wciągnęła ten kraj w krąg kuźni wykuwającej naszą cywilizację — był olbrzymi i, bez niedoceniania czegokolwiek, conajmniej *primus inter pares*.

Ujmijcie z cywilizacji europejskiej francuskie życie i obyczaj, umysł i duch, pracę i rozrywkę, rycerstwo i rzemiosło, piśmiennictwo, sztukę i naukę, a będzie to takie zaćmienie słońca, że w Europie zrobi się ciemno.

Kto mówi, że bez Francji niema równowagi politycznej Europy, mówi prawdę, ale to jest prawdą dlatego, że bez Francji niema wogóle Europy.

Rzetelność, głębokość, wartość i moc odwiecznej przyjaźni Polski z Francją tkwi właśnie we wspólnej pracy dla cywilizacji europejskiej, wspólnem jej rozumieniu, wspólnem jej umiłowaniu. Niema Polaka, któryby we Francji nie czuł się w swoim świecie, i niema Francuza, któryby w Polsce nie odnalazł się jak u siebie w domu. To pobratymstwo cywilizacyjne, dzieło wieków i wieków, stanowi nie tylko nasze wspólne dobro, ale także wielkie dobro Europy. Gdyby nie było tej więzi wspólnych pojęć, uczuć i dążeń, które nigdzie bodaj nie występują tak dobitnie jak między Francją a Polską, niewiadomo czem właściwie byłoby samo pojęcie Europy. I dlatego, jeśli w Polsce nikt nie zawaha się w twierdzeniu że niema Europy bez Francji, nie skądinąd niż z Francji rozbrzmiewały najmocniej przez sto lat z górą głosy, że niema też Europy bez Polski.

W chwili tak przełomowej dla Europy, jak obecna, tylko sięgając do tych głębokich podstaw przyjaźni Francji z Polską, z pełnem, sumiennem, żywem i odpowiedzialnem ich zrozumieniem, można ułożyć stosunki polsko-francuskie na miarę zadań i obowiązków, w imię zachowania i rozwoju starej cywilizacji Europy, a nie jakichkolwiek haseł światoburczych.

STANISŁAW STROŃSKI.

BIBLIOTEKA RÓWNACKA

IGNACY BALIŃSKI

ZE WSPOMNIEŃ O DAWNEJ WARSZAWIE

RZUT OKA NA LATA 1886–1894[1]

TRZY OKRESY

Po wejściu mojem na t.zw. arenę życia samodzielnego, dalszy rozwój Warszawy aż do pierwszej wojny światowej mógłbym może najtrafniej podzielić na trzy okresy: pierwszy do śmierci Aleksandra III (1894), uwieńczony rozpoczęciem budowy słynnego soboru i dzwonnicy na pl. Saskim, drugi do reform politycznych w Rosji, wywołanych przegraną wojną z Japonją (1905), trzeci do wyjścia Moskali (1915).

Warszawa przez te lata rozwijała się i modernizowała coraz szybciej nawzór miast zachodnich i, pozyskując stopniowo nowożytne udogodnienia techniczne, stawała się wielkiem miastem europejskiem. Zewsząd napływała ludność różnych warstw i zawodów, przedmieścia rozszerzały się, mnożyły się fabryki, zakłady przemysłowe, domy handlowe i t.p. zwłaszcza w związku z wywozem do Rosji. Wraz z ubytkiem ogrodów i pustych placów, opona dymów gęstniała nad miastem, higjeniści narzekali na brak ozonu.

W pierwszym okresie, najcięższym jeśli chodzi o nacisk rusyfikacyjny, było jeszcze wiele resztek dawnego życia patrjarchalnego, skupiającego się niemal wyłącznie w obcowaniu rodzinnem i towarzyskiem. Wszelkiego rodzaju działalność zbiorowa nie tylko o charakterze politycznym, ale społecznym, zawodowym i kulturalnym, musiała się ukrywać po mieszkaniach prywatnych.

Koszty życia w Warszawie (poza mieszkaniami), były niezmiernie niskie; drożyzna zaczęła wzrastać dopiero po zmniejszeniu około r. 1894 za ministra Wittego wartości rubla złotego o 33%: z 4 fr złotem do 2.66 fr. W tym okresie, gdy rząd odmówił Konsorcjum kapitalistów francuskich koncesji na urządzenie bulwarów nad Wisłą i zabudowanie dzielnicy nadrzecznej — najważniejszem zdarzeniem stało się zburzenie ogromnego boduenowskiego szpitala Dzieciątka Jezus, który tkwił w samym środku miasta. Otworzyło to nowe ulice, jak Boduena, Sienkiewicza, Moniuszki, przedłużyło Jasną aż do ul. Zgoda i pozwoliło w ciągu kilku lat na zbudowanie szeregu wspaniałych kamienic, z których najokazalszą może był gmach towarzystwa asekuracyjnego „Rosja" z frontem od ul. Marszałkowskiej.

Dyrektorem tego towarzystwa na Królestwo Polskie był Henryk Barylski, jeden z największych zwolenników spirytyzmu, jakich znałem. Drugim był mój kolega z Sądu Najwyższego Suryn, z którym duch syna zmarłego w Petersburgu miał rozmawiać, kierując ołówkiem po papierze. W ciągu pewnej zimy najczęściej u Barylskiego odbywały się doświadczenia dr. Juljana Ochorowicza z medjum Tomczykówną, w obecności gospodarza, historyka Władysława Smoleńskiego, autora „Dziejów literatury powszechnej" Juljana Adolfa Święcickiego i mojej. Każdy seans poprzedzała obfita kolacja; także medjum gruntownie sobie wówczas podjadało, bo Barylski był wytwornym gastronomem, a szczególnie celował w przyrządzaniu rozmaitych zakąsek i dań z pomidorów, które medycyna właśnie wtedy po dłuższym bojkocie znowu do łask higjeny przywróciła, przenosząc swój ostracyzm na szczaw i wyborną zupę szczawiową z wędzonką.

Ochorowicz nie wierzył w żadne duchy i ich interwencje, lecz badał zjawiska hipnotyczne, medjumistyczne i t.p. jako przyrodnik. U Tomczykówny odkrył jakąś szczególną, rzadko spotykaną właściwość. Po kilku „passach" zasypiała, i wówczas jaźń jej opanowywał — oczywiście niewidzialny — niejaki „Wojtek", przemawiający akcentem i językiem andrusa znad Wisły. Ale wówczas gdy piastowała w swojem łonie czy w swoim mózgu owego Wojtka, z końców jej palców — i to było najważniejsze — wytryskiwały promienie, które Ochorowicz nazwał „sztywnemi"; występowały one wyraźniej tylko u pewnych osobników. Przy świetle — seanse zaś odbywały się przy jednej lub dwóch świecach — promienie te były niewidzialne, ale miały taką konsystencję, że medjum, trzymając ręce rozstawione o jakieś pół metra, podnosiło papierosa, ołówek, a nawet małe nożyczki. W ciemności stawały się one widzialne, lecz traciły swą sztywną konsystencję.

Po wyjeździe Ochorowicza z Warszawy do Wisły na Śląsku, gdzie zbudował sobie willę, zaniechałem wszelkich stosunków ze spirytystami i słynnego Guzika nigdy nie widziałem. Tomczykówna wyjechała do Anglji i podobno wyszła tu zamąż.

Na tychże gruntach poszpitalnych stanął wkrótce gmach Filharmonji, wzniesiony dzięki staraniom i zabiegom Aleksandra Rajchmana, redaktora-wydawcy tygodnika „Echo Muzyczne i Teatralne", później pierwszego dyrektora Filharmonji i przez jeden czy dwa sezony — opery warszawskiej.

Kaplicę szpitalną nabyła Ludwikowa Krasińska, matka Adamowej Czartoryskiej, i po przerobieniu przekazała parafji świętokrzyskiej. Uzyskane z parcelacji placów sumy pokryły w znacznej części koszta zbudowania nowego szpitala przez zarząd fundacji.

W drugim okresie przybyła w związku z pierwszym urzędowym przyjazdem do Warszawy cara Mikołaja II — Politechnika, dzieło architekta Szyllera. Rząd udzielił pozwolenia, a społeczeństwo — pieniędzy; największą sumę ofiarował Leopold Kronenberg.

Wkrótce potem stanął pomnik Mickiewicza, odsłonięty w dzień wilji 1898 r., wśród nakazanego grobowego milczenia tysięcznych tłumów, bez żadnego przemówienia, tylko z odczytaniem przez proboszcza ks. Siemca krótkiej modlitwy po łacinie.

W grudniu następnego roku jubileusz Sienkiewicza, chociaż mógł się odbyć w sali ratuszowej, ale tylko z jednem przemówieniem prezesa komitetu ks. biskupa Ruszkiewicza i z odśpiewaniem pieśni rycerskiej Moniuszki, lecz przy milczącej defiladzie delegacyj z różnych stron kraju.

Oświetlenie elektryczne ulic, tramwaje elektryczne, windy, telefony, samochody, wszystko to zjawiło się już w trzecim okresie, t.j. w w. XX. Wtedy też dopiero rząd rosyjski, który dotąd budował tylko cerkwie, koszary i więzienia, wzniósł nowy budynek poczty na pl. Wareckim, Bank Państwa na Bielańskiej i ogromny gmach korpusu kadetów Suworowa przy końcu al. Ujazdowskich (później nasza Szkoła Podchorążych). Wreszcie pozwolił gminie miejskiej na postawienie wspaniałego mostu u wylotu al. Jerozolimskiej (most ks. Józefa Poniatowskiego). Naczelny jego budowniczy, inż. Marszewski, najniewinniej ucierpiał za nienależyte zarejestrowanie „pot-de-vin" w kwocie 100 000 rb, przekazanej jakimś sferom petersburskim przez wielką stalownię Rudzki i S-ka. Stał się on ofiarą rywalizacji między senatorem Nejhardtem, szwagrem premjera Stołypina, a generał-gubernatorem Skałłonem, którego Stołypin chciał się pozbyć.

1) Fragmenty z pisanego w Anglji dla rodziny pamiętnika; por. nr. nr. 145/146, 159 i 173 „Wiadomości Polskich".

JĘZYK ANGIELSKI
Kursy korespondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcyj angielskiego drogą korespondencji. Powodzenie zapewnione. Proszę napisać: Tutor, 64, Finchley Ct., London, N.3

DALSZE PORZĄDKOWANIE MIASTA

Przy końcu pierwszego okresu ukazały się dość gęsto na rogach ulic oszklone kioski do sprzedaży gazet. Kioski te były gustowniejsze od drewnianych, malowanych na żółto budek do sprzedawania papierosów, które nasz magistrat stawiał i wydzierżawiał inwalidom wojennym, a których brzydota wywoływała nieraz za mojej prezesury nagany ze strony radnych miejskich.

W tym samym mniejwięcej czasie, dzięki poparciu ober-policmajstra gen. Kleigelsa[2] (à tout seigneur tout honneur!), urządzono w wielu miejscach uliczne „water-closety" ku istotnej wygodzie publiczności, która dotąd, będąc na mieście, musiała w potrzebie poszukiwać właściwych ubikacyj w głębi często zupełnie nieznanych sobie dziedzińców.

Tenże Kleigels ukrócił i uporządkował spacery ulicznych „perypatetyczek", które rozpanoszyły się szczególnie na ul. Świętokrzyskiej, Trębackiej i w al. Jerozolimskich. On również skoncentrował wszystkie licencjonowane domy publiczne, mieszczące się poprzednio przeważnie w okolicach ul. Freta i Nowego Miasta, na ul. Towarowej koło Żelaznej.

Nie brakło jednak w Warszawie kurtyzan zawodowych, że się tak wyrażę — pierwszej klasy, utrzymywanych przez opiekunów ze złotej i często już dobrze podtatusiałej młodzieży. Nie były one tak słynne w świecie, jak klasyczne Lais i Fryne, ani nawet jak Cora Pearl czy Hortensja Schneider za czasów drugiego cesarstwa w Paryżu. Nawiasem mówiąc, pamiętam, jak w r. 1882 czy 1883 „Gil Blas" wiadomość o śmierci — już pono w wielkiej biedzie — jednej, ze słynnych kurtyzan zakończył westchnieniem: „La pauvrette, elle a passé dans un demi-monde meilleur".

Jednak i owe syreny warszawskie były znane z widzenia szerszej publiczności i nazywane dyskretnie, gdy w eleganckich „wiktorjach" albo dwukonnych dorożkach na gumach przejeżdżały przez Aleje do Marcelina czy Sielanki lub na wyścigi. Zmienne koleje ich losów opisał barwnie w jednej ze swych warszawskich powieści Alfred Konar, aczkolwiek nie z takim talentem, jak Ignacy Dąbrowski odtworzył w swej znakomitej „Felce" ciche dramaty tych uczciwych, zapracowanych zabezcen szwaczek, których wówczas stanowczo było w Warszawie za dużo, a to spowodu niedostępności dla kobiet wielu źródeł pracy zarobkowej. Dziewczęta z t.zw. niższej średniej klasy posiadały zbyt mało wykształcenia, żeby być bonami, a cóż dopiero nauczycielkami, a za mało wyrobienia fizycznego na robotnice. Zostawała im tylko — służba domowa, do której garnęły się niechętnie, i — igła, jeżeli nie wychodziły zamąż.

Z instytucyj społecznych, które zabiegały o poprawę upadłych dziewcząt i wyzwolenie ich z nader krępujących więzów domów publicznych, znałem najlepiej dom pod wezwaniem Najświętszej Marji Panny przy ul. Żytniej, zwany popularnie „Magdalenkami", byłem bowiem przez wiele lat jego kuratorem. Zakład ten prowadziły właściwie zakonnice, których główny dom znajdował się w Angers we Francji, ale że nie były dopuszczane do Rosji, działały jako świeckie stowarzyszenie kobiece na mocy specjalnego statutu, wyjednanego w ósmym dziesiątku lat w. XIX przez matkę Eugenję Ożarowską, dzięki protekcji samej cesarzowej, żony Aleksandra II.

Dziewczęta, które zresztą mogły opuścić zakład w każdej chwili, kształciły się i wykonywały prace zarobkowe stosownie do swych uzdolnień, od najpiękniejszych haftów do prania bielizny. Wieśniaczki pracowały w ogrodzie i na roli w fermie Derdy pod Raszynem, ofiarowanej przez Gustawa Przeździeckiego. Bywałem tam dwa razy do roku na przedstawieniach teatralnych, urządzanych przez wychowanki, i od czasu do czasu asystowałem urzędowo przy zwiedzaniu zakładu przez generał-gubernatorowe, co było pożyteczne, bo podnosiło nasz autorytet wobec policji.

Po odzyskaniu niepodległości, zakład stał się jawnym zakonem, a przełożoną prowincji warszawskiej po śmierci matki Ożarowskiej została matka Anna Moraczewska, rodem z Małopolski.

Trzeba jeszcze przyznać ober-policmajstrowi Kleigelsowi zasługę surowszego przestrzegania polewania ulic, nawet dwukrotnie w dni suche, przez stróży domów na koszt ich właścicieli, oraz energiczniejszego uprzątania przez magistrat śniegu, co jeszcze i za ostatnich czasów było bolączką Warszawy, bo pamiętamy chyba wszyscy na bocznych ulicach wały sczerniałych brył śniegowych, wyczekujące deszczów i wiosennego słońca ku zadowoleniu miljardów bakteryj.

POSŁAŃCY — PRZESYŁANIE LISTÓW I DEPESZ

Wprowadzenie udogodnień komunikacyjnych, a przedewszystkiem telefonów, wpłynęło na zupełne zniknięcie t. zw. „posłańców ulicznych", którzy przez wiele lat byli niezmiernie użyteczni, gdy chodziło o roznoszenie pilnych listów i posyłek.

Ożywiali oni widok chodników swemi czapkami i okryciami z czerwonemi obwódkami, grupując się przy hotelach i na rogach ruchliwszych ulic, gdzie nawet stały specjalnie dla nich przeznaczone ławki. Wszyscy byli zarejestrowani, składali kaucje po 15 rb, a za odniesienie listu i małej paczki w jedną stronę pobierali po 15 kop z dodatkiem 10 gr na tramwaj przy dalszych kursach. Byli oni tem potrzebniejsi, że poczta warszawska nie umiała szybko rozsyłać korespondencji miejskiej (nawzór paryskich „les petits bleus"), tak iż wobec opróżniania skrzynek pocztowych i roznoszenia listów raz na dobę — korespondencja, kosztująca 3 kop, dochodziła adresata zwykle na trzeci dzień.

2) Kleigels mówił nieźle po polsku. W wydanej w owym czasie w Krakowie przez „Baronową X.Y.Z." dowcipnej książce o towarzystwie warszawskiem, złośliwa autorka przypisuje mu napisanie w albumie jednej z dam polskich, utrzymującej z nim stosunki towarzyskie, następującego dwuwiersza:

Miłość moja do ciebie przykleja jak klajster,
Tyś jest mojego serca oberpolicmajster!

Korespondencja pocztowa, poza obrębem miast, kosztowała w całem państwie zrazu po 10 kop, później po 8 kop i 7 kop, a listy otwarte, — co do których toczył się w naszej prasie spór filologiczny z ostatecznem zwycięstwem nazwy „pocztówka", — po 3 kop. Na markach, a jak teraz się mówi, na „znaczkach pocztowych", w cesarstwie rosyjskiem figurował tylko dwugłowy orzeł herbowy, a nie profil cara, uważano bowiem, że stemplowanie pieczątką oblicza monarchy ubliża symbolicznie jego godności.



PLAC ZAMKOWY

Adresy na listach można było pisać we wszystkich językach europejskich z wyjątkiem polskiego i żydowskiego. My Polacy używaliśmy zwykle języka francuskiego, przyczem bodaj że do końca ub. w. panował zwyczaj pisania na kopertach nawet w korespondencji prywatnej słów „pan", „pani" czy „panna" — dwukrotnie.

Adres zatem na kopercie brzmiał tak:

St. Poniewież (gvt. de Kowno)
Monsieur
Monsieur Longinus Podbipięta
à Myszykiszki,

albo

Mademoiselle
Mademoiselle Alexandrine de Billewicz
à Wodokty.

Skądinąd usuwało to wątpliwości co do używania intytulacji „Wielmożny" czy „Jaśnie Wielmożny".

Centralna stacja telegraficzna w Warszawie znajdowała się na ul. Królewskiej między wjazdem do kościoła Ewangelickiego i ogrodem z pałacykiem niegdyś marszałka koronnego Bielińskiego, który za Stanisława Augusta pierwszy urbanizował stolicę i zniósł większość jurydyk. Posiadłość ta, należąca później do rodziny Łubieńskich, uległa rozparcelowaniu pod kamienice około r. 1887. Wielki gmach telegrafu zbudowano na parę lat przedtem na gruntach dawnego ogrodu pałacu Brühlowskiego przy ulicy obecnie Fredry, nazwanej wówczas ul. hr. Kotzebue, na cześć ówczesnego generał-gubernatora, wsławionego prześladowaniem unitów na Podlasiu i Chełmszczyźnie po zniesieniu unji w Królestwie Kongresowem.

Depesz w języku polskim również nie wolno było wysyłać. Najtańsza kosztowała 60 kop do dziesięciu wyrazów, za następny wyraz pobierano po 5 kop. Jeżeli adresat nie mieszkał przy stacji, z wyjątkiem większych miast, gdzie roznoszono listy i telegramy, musiał sam zgłaszać się po nie, chyba że wysyłający opłacił zgóry posłańca.

DOJAZDY DO WARSZAWY — KOLEJE ŻELAZNE

Rzut swój na ówczesną Warszawę pokieruję wzorem Baedekera (drogi dojazdowe, hotele, ulice i t.d.), który zresztą nie był obcy naszym wydawcom „przewodników dla podróżnych" sprzed stu lat z górą. Odziedziczyłem wśród książek po dziadku „Le guide du Royaume de Pologne", wydany przez Glücksberga w r. 1827, a ułożony taką właśnie metodą z dobrą mapką kraju i planem Warszawy, a nawet z rysunkami celniejszych gmachów. Trójkąt przy nazwie miasta oznaczał istnienie loży masońskiej, które wtedy były dozwolone. Oprócz Warszawy, trójkąty te figurowały, o ile pamiętam, przy Kaliszu, Lublinie, Łomży i bodaj Siedlcach.

Dziad mój, Ignacy Baliński[3], nabył ten przewodnik, jeżdżąc z Punżan nad Wilją w hrubieszowskie, dokąd jedna z gałęzi naszej rodziny przeniosła się z Wielkopolski — dla wywindykowania po bezdzietnie zmarłym stryju Antonim, pośle na sejm Królestwa z 1818 r., majątku Uchanie, do którego rościła pretensje rodzina pozostałej po nim wdowy. Podczas jednej z podróży zmarł na cholerę w Chełmie przed samym wybuchem powstania 1830 r.

Z notatek dziadka mego widać, że chwali stan dróg, przeważnie już bitych, poczt i zajazdów w Królestwie. Zaznacza, że dla najmowania koni pocztowych nie potrzeba było uzyskiwać od władz rządowych, jak w cesarstwie, specjalnych pozwoleń, zwanych „podorożna", co było tam wymagane aż do panowania Aleksandra II.

W okresie, który opisuję, przyjeżdżano już z większości stron do Warszawy kolejami. Wagony były przeważnie o niekomunikujących się przedziałach z drzwiczkami na zewnątrz, opalane zimą blaszankami z gorącą wodą. Dopiero w pociągach dalekobieżnych poczynano wprowadzać wagony korytarzowe z wygodniejszemi urządzeniami nawet w klasie III.

3) Dziad mój (1787–1830), ożeniony z Elżbietą Houwaltówną z Szyrwint, był synem także Ignacego (1756–1819), cześnika inflanckiego, później wicemarszałka departamentu doraźnego trybunału litewskiego. Starszy brat jego, Stanisław, tłumacz maksym La Rochefoucaulda, był pierwszym sekretarzem dyrekcji Teatru Narodowego, utworzonego dekretem z r. 1811. Zmarł w Krakowie w r. 1813. Młodszym bratem był historyk Michał (1794–1864). Ojciec mój Józef (1815–1892), w czasie gdy mieszkał w Wilnie jako członek izby sądowej karnej z wyboru obywatelstwa, był współpracownikiem miesięcznika „Roztrząsania i Wizerunki Naukowe".

Krążyły już w kurjerach międzynarodowe wagony sypialne, ale nie było ani restauracyjnych, ani wsuwanych tac z obiadami, jak w Austrji. Z tego powodu co jakie 100–120 wiorst, pociągi dzienne zatrzymywały się dłużej, aby dać pasażerom możność posilenia się. Niektóre z bufetów stacyjnych, jak w Skierniewicach, Częstochowie, Łukowie i Dęblinie (Iwangród), miały ustaloną dobrą opinję u podróżnych, a każdy posiadał jakąś swoją specjalność.

Opowiadano mi, że raz w Łukowie, gdy podczas wielkiego upału kilku turystów angielskich, wówczas naogół bardzo rzadkich, zasiadło do stołu bufetowego w kamizelkach bez kurtek — publiczność ze względu na obecność pań przy stole poprostu zmuszała ich do wyjścia z sali, czego zupełnie nie mogli pojąć. Doszłoby zapewne do bójki, gdyby nie załagodzili sprawy wąsaty żandarm i jeden z pasażerów, tyle umiejący po angielsku, że wskazując na rękawy od koszuli, wołał: „Shocking! Shocking!". Zanim zadźwięczał trzeci dzwonek, Anglicy mieli jeszcze czas do przywdziania kurtek i spożycia takiej polędwicy z borowikami w śmietanie, jakiejby zapewne w Londynie nawet nie dostali.

Taryfy kolejowe były dość wysokie; wynosiły od wojny tureckiej 1877/78 r. po 3,75 kop za wiorstę w I klasie, 2,75 kop w II i 1,45 w III. Dopiero pod koniec w. XIX zaprowadzono taryfę t. zw. strefową, zmniejszaną dla większych odległości. Jeden pud rzeczy, zdawanych na bagaż, był wolny od opłaty, ale obok tej ulgi można było mieć przy sobie całe stosy paczek, poduszek i „czemodanów" (walizek), bo konduktorzy patrzyli na to przez palce. Od psów, przewożonych w osobnych przedziałach, płaciło się część biletu III kl.

GOŚCIŃCE I STACJE POCZTOWE — WĘDRÓWKI PO KRAJU

W owych czasach jeszcze bardzo wiele okolic w Królestwie było niezmiernie oddalonych od nielicznych dróg żelaznych. Z kaliskiego, płockiego, łomżyńskiego, radomskiego trzeba było dojeżdżać do najbliższej stacji kolejowej lub wprost do Warszawy — jeśli się nie miało własnych koni — kurjerkami (dyliżanse), extrapocztą dość kosztowną, lub różnego rodzaju najmowanemi wehikułami i furgonami. Podróżni, oszczędniejsi i niezamożni, używali najchętniej pakownych bryk, zwanych „krakowskiemi", z budami płóciennemi; stłoczeni w nich byli jak śledzie w beczce.

Ja w tych latach niewiele jeździłem końmi po Królestwie, tylko niekiedy do krewnych na Podlasiu, z Siedlec do ślicznie położonego nad samym Bugiem Mężenina, gdzie podobno w ostatnich czasach osiedliła się grupa teozofów polskich. Już znacznie później, odwiedzając krewnych żony, poznałem opatowskie i sandomierskie, kiedy jeszcze nie było kolei z Ostrowca do Sandomierza.

Ale po gościńcach i drogach moich stron rodzinnych, zwłaszcza aż do zbudowania kolei poleskich (Wilno — Równe, Baranowicze — Białystok), od północnej granicy błot pińskich aż po za Grodno i Wilno, najeździłem się dowoli. Ze starszymi podróżowało się zwykle własnemi powozami, a właśnie w tym czasie nastąpiło ulepszenie ich przez zamianę resorów „stojących", na których pudło powozu było zawieszone, na resory leżące, daleko trwalsze i nie kołyszące. Przy dłuższych podróżach dach „kocz-karety" bywał zazwyczaj obciążony długą, płaską walizą, zwaną „waszą", specjalnie przeznaczoną dla sukien damskich.

Młodzi mężczyźni sami używali najczęściej t. zw. „pieriekładnoj", zmieniając na każdej stacji, mniejwięcej co trzy mile, nie tylko konie ale i bryczkę albo sanki. Płaciło się po 3 kop od wiorsty i konia, z dodatkiem 12 kop za bryczkę, napiwku dla pocztyljona i coś tam jeszcze za smarowanie osi. Latem odbywało się też nieraz kilkunastomilowe kursa konno.

Rozkoszne były te gościńce pocztowe, szerokie przynajmniej na 20–30 sążni, obsadzone nieraz podwójnym rzędem brzóz, wierzb lub sosen, przerywanym tylko przez las albo mijaną wioskę, gdzie z chat o małych okienkach, ocienionych najczęściej wysokiemi łodygami malw i słoneczników, na głos dzwonka pocztowego wysypywała się dziatwa. Po drodze można się było zatrzymywać dla zbierania stosownie do pory roku poziomek, czernic czy grzybów, albo zrywania bławatków wśród kłosów dojrzewającego żyta, najpiękniejszego dla mnie w tym okresie ze wszystkich zbóż.

Ale może najprzyjemniejsza była szybka po dobrze utartej drodze, często z zaprzęgiem „koń przed koń", jazda sankami! Dawała ona żywsze odczucie szybkości niż w dzisiejszych zamkniętych samochodach.

Stacje pocztowe, z wyjątkiem w większych miasteczkach i na jedynej podówczas w tamtych stronach szosie: Brześć — Bobrujsk — Mohilów, były drewniane. Od frontu — niewielki domek urzędowy z gankiem o dwóch słupkach i dwugłowym orłem państwowym. Po dwóch stronach — dwie bramy do obszernego kwadratowego majdanu, otoczonego ze wszystkich boków mieszkaniami pocztyljonów, stajniami i wozowniami, bez żadnego już wyjścia, a to dla utrudnienia kradzieży koni.

Taka np. stacja Nowiny — na skrzyżowaniu gościńców ze Słonimia, Nowogródka i Lidy w porębie leśnej wśród ówczesnych rozległych borów sieleckich nad Niemnem — wyglądała zupełnie jak fortalicje, opisywane przez Fenimora Coopera i Mayne-Reede'a w powieściach o czerwonoskórych Mohikanach i Huronach.

Gospodarzem na stacji pocztowej był t. zw. „starosta", który udzielał koni i pobierał opłaty, przyczem starał się zawsze zaprzęgać jak najwięcej koni, jeśli podróżny jechał własnym ekwipażem. Ale miał jeszcze inny obowiązek natury mniej urzędowej. Powinien był na żądanie podróżnego jak najśpieszniej nastawić samowar i podać go z imbryczkiem i szklankami, albowiem, jak mawiał mój kuzynek Leon Zajączkowski, który jako inspektor ogniowy musiał ciągle rozjeżdżać po kraju:

Zarówno podczas mrozu jak letniego skwaru
Miło jest się herbaty napić z samowaru.

Ten dwuwiersz przypomniał mi inny, który lubił powtarzać sędziwy pan Roch Ancuta, właściciel Ustronia i Wilczego Błota pod Mirem. Podszedłszy przed zajęciem miejsca przy stole jadalnym do bocznego stolika z wódkami i zakąskami, zanim wychylił kieliszek starej żytniówki, powiadał:

Byłaś w polu, byłaś w gumnie,
Teraz będziesz w gardle u mnie.

A wierszyka tego — mówił nam młokosom — nauczył go jakiś stary szlachcic spod Słucka, który jeszcze pamiętał księcia „Panie Kochanku".

Przy sposobności zaznaczę ad perpetuam rei memoriam, że panie a tem bardziej panny nigdy nie podchodziły do tego bocznego stolika, chyba żeby uszczknąć kawałek marynowanego rydza albo piernika. Wogóle za moich młodzieńczych a nawet dojrzałych lat nie widziałem, aby panie piły wódkę, najwyżej kieliszek wina przy obiedzie lub kolacji, które zresztą w większości domów, zarówno wiejskich jak miejskich, podawano tylko dla gości lub na jakichś uroczystościach świątecznych czy rodzinnych.

Przejechałem jeszcze w tych latach wiele dróg końmi po pow. orszańskim i sieńskim gub. mohylewskiej, odwiedzając w Tołoczynie znakomitego gospodarza Witolda Sławińskiego i przyjaciela mego Karola Świackiego w Bielicy koło Sienna, który gospodarstwo swoje postawił również na wzorowej stopie. Matka jego była wnuczką słynnego portrecisty Walentego Wańkowicza i siostrą Arturowej Bartelsowej, żony dowcipnego satyryka. U siostry jego p. Marji Śląskiej w Trzebczu pod Toruniem widziałem się w końcu września 1920 r. po raz ostatni z Fałatem i poznałem się z przebywającym w sąsiedniej Nawrze Sczanieckich z mniej głośnym, ale wielce cenionym w Brunświku, gdzie mieszkał przed wojną, malarzem Wodzińskim.

Poznałem także północną część pow. bobrujskiego, odwiedzając generałostwo Żylińskich w Zawołoczycach, położonych w lesistej okolicy między Słuckiem i Bobrujskiem nad rzeką Ptyczą. Gen. Józef Żyliński zainicjował już był wtedy i kierował z ramienia rządu zakrojonem na szeroką skalę dziełem osuszania błot poleskich, przerwanem w połowie przez pierwszą wojnę.

Nie myślałem, wyjeżdżając w lipcu 1939 r. z Warszawy, że się rozstaję z córkami jego, doktorową Offenbergową i Zofją Wańkowiczową, zapewne na zawsze, jak z p. Józefową Tyszkiewiczową, fundatorką czytelni i bibljoteki dla dzieci i młodzieży, z p. Kazimierą Neronowiczową, wiceprezeską katolickiego Związku Polek, z p. Heleną Bispingową, założycielką wielkiej bursy dla dziewcząt, z tylu innymi krewnymi, przyjaciółmi i kolegami z Kasy Literackiej, Zrzeszenia Sędziów i Prokuratorów, Macierzy Szkolnej, o których nie wiem nawet, czy wszyscy żyją.

Nie wiem, co się dzieje z najmłodszym siostrzeńcem mojej żony Adamem Wasiutyńskim, który mieszkał ze mną po jej śmierci, i wieloletnim, wiernym i nieodstępnym sekretarzem Kazimierzem Błażewiczem[4].

Najeździłem się w owych czasach sporo i kolejami i drogami kołowemi po wschodnich dzielnicach Rzeczypospolitej, bom sięgnął jeszcze na Żmudź i na Wołyń, aż do Ostroga, Równego i Krzemieńca, lecz nie przekraczając nigdy jej dawnych najdalszych granic, bo tego zażądał odemnie mój ojciec i nawet zalecił w testamencie. Z tego powodu po skończeniu gimnazjum zaniechałem zamiaru wstąpienia na fakultet języków wschodnich w Petersburgu, nie odwiedziłem nigdy tego miasta pomimo zaproszeń mieszkających tam krewnych i w r. 1915 nie udałem się do Rosji, choć mnie Zygmunt Wielopolski wzywał do jakiegoś polskiego komitetu.

ZAJAZDY I KARCZMY

Na gościńcach pocztowych i jeszcze bardziej na drogach bocznych, niepoślednią rolę, zwłaszcza aż do wprowadzenia przez ministra Wittego w 1896 r. monopolu skarbowego handlu spirytualjami, odgrywały karczmy nie tylko dla pobliskiej ludności okolicznej, jako dostarczycielki wódki, miejsca drobniejszych obrotów handlowych i zgromadzeń towarzyskich, ale i dla popasów i noclegów przejezdnych. Słusznie przyrównał je Mickiewicz do korabi, bo istotnie i kształtami i objętością przypominały arkę Noego, zwłaszcza główna część każdej z nich, zwana „stodołą", w której obok wehikułów i koni gromadziły się w miękkiem błotku różnego rodzaju „żywioły" od krów do kurcząt i kacząt; najdrobniejsze insekta wolały, niestety, izby przeznaczone dla ludzi.

4) Błażewicz, samouczek ale bardzo oczytany, był najprzód zecerem w „Kurjerze Warszawskim", potem dysponentem w drukarni Szyllera, w ostatnich latach sekretarzem w biurze Kasy Literackiej. Gorący patrjota, narażał się wielokrotnie za Rosjan, drukując i rozpowszechniając „Polaka". Wydał na swoje ryzyko w 1933 r. zbiorek moich żartobliwych parodyj wierszowanych („Z księgi gołych") i opracował stronę graficzną antologji moich poezyj („Wybór wierszy z lat wielu 1886–1936"). Jedyny egzemplarz tej antologji w Anglji, który był u mego syna Antoniego w Londynie, znajduje się teraz u mnie. Przy zbombardowaniu jego domu ocalał z niewielką częścią innych książek.

Karczmy te bywały trzech typów. Najwspanialszy, miasteczkowy, mający już pretensję nazywania się zajazdem, posiadał od frontu szeroką bramę wjazdową, prowadzącą do położonej w głębi stodoły. Z obu jej stron były skrzydła mieszkaniowe, po jednej — izba szynkowa i sypialnie gospodarzy, po drugiej — „numera" dla gości. W miasteczkach zajazdy te rozróżniano według nazwisk właścicieli. Naogół, o ile w Warszawie i Królestwie hotele oddawna nosiły nazwy przeważnie „geograficzne", o tyle na wschodzie Polski, nawet w Wilnie i Grodnie (hotele Niszkowskiego, Gana, Sokołowskiego, Romera) bardzo długo nazwiska swych właścicieli lub założycieli. Nie zdarzyło mi się jednak nigdy spotkać nazwy, powołującej się na jakieś zwierzę, co teraz jeszcze wciąż widuję po miasteczkach angielskich: „Pod Czerwoną Krową" albo „Czarnym Lwem" i t.p.

W drugim typie, najpośledniejszym, stodoła z bramą od frontu stała przy samej drodze, a część mieszkalna, znacznie szczuplejsza, przylegała do niej zboku.

W trzecim typie, możliwym dla popasywania a z biedy i dla przenocowania na zapożyczonem ze stodoły sianie, przykrytem własną derką, część „ludzka", rozdzielona sienią na dwie połowy, z gankiem na słupkach po środu, zajmowała całą długość frontu od drogi, stodoła zaś tej samej długości z dwiema na przestrzał bramami przylegała do niej od tyłu.

Tego właśnie typu była karczma zajezdna, z którą od dzieciństwa łączyły mnie stałe i zawsze miłe wspomnienia, odnawiane każdego niemal lata. Stała ona pośród gęstego lasu przy trakcie z Nowogródka do Stołowiez (teraz szosa do Baranowicz). Po drugiej stronie traktu o jakie kilkaset kroków po przez sosny i dęby przeświecała srebrnobłękitnawa tafla Świtezi. Niezliczone razy z odległych o 15 km Sienieżyc bywałem na jej brzegach w różnych porach dnia i nocy, często zaskoczony przez nawałnice, grożące rozwaleniem starej karczmy. Bywałem sam i w wesołem gronie towarzyskiem.

Karczmę od przyległego folwarku Miratycze trzymał dzierżawca Abram także nieskończoną liczbę lat; kiedy go poznałem, miał czarną, a ostatni raz w r. 1915 białą jak śnieg brodę.

POŻEGNANIE ŚWITEZI

Rzadko która rada poety osiągnęła taki posłuch, jak mickiewiczowska:

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać swe konie,
Byś się przypatrzył jezioru.

Toteż przejeżdżający zatrzymywali się stale, a mnóstwo przyjeżdżało umyślnie.

Nawet car Mikołaj wiosną 1915 r. zrobił tu wycieczkę z Baranowicz i — jak mi mówiono — popatrzywszy na okolone lasem jezioro, wyrzekł: „Żiwopisno (malowniczo)".

Cudzoziemcy, którzy przyjeżdżali do mego syna i jego żony do Sienieżyc, oceniali szczerze dziwny urok tego jeziora, wywoływany nie jego pięknością, bo przecież jest mnóstwo bezporównania piękniej położonych lecz prawdopodobnie prawidłową i dającą się w całości objąć wzrokiem mimo obszaru — jego symetryczną kolistością w pierścieniu lasów, żywą grą kolorów i świateł, oraz fantastycznością podnoszących się zwłaszcza po deszczu lub pod wieczór oparów. Wśród tych gości przyjeżdżali najprzód koledzy syna z prezydjum Międzynarodowej Konfederacji Studentów (C.I.E.) — Butler z żoną, obecnie angielski minister oświaty, pierwszy członek parlamentu, który zwiedził tamte strony; Macadam, sekretarz generalny Królewskiego Instytutu Międzynarodowego Chatham; Szwed Sulman; Belg van Laar; a później w różnych latach attaché wojskowy angielski płk. Sword; Jacques Maritain z ojcem Lavaud; ks. Journet, autor cennej książki o Polsce „La voie de Pologne"; ambasador Tadeusz Romer, Miss Wilkins i in.

A podczas moich wakacyj w Sienieżycach w 1939 r., jakby na ostatnie oglądanie i pożegnanie tamtych stron, przyjeżdżali, spędzając zawsze parę godzin nad jeziorem, z cudzoziemców poseł duński z żoną i synem; prof. Coleman z uniwersytetu Columbia (U.S.); prof. Fraser z Aberdeen, a z Polaków z dalszych stron: ks. biskup piński Bukraba, ojciec Woroniecki, pp, Witoldostwo Czerwińscy i Kazimierzostwo Wierzyńscy, prof. Lutosławski, Adamostwo Żółtowscy (ona — Puttkamerówna z domu, prawnuczka Maryli), Krystyna Landauówna z Warszawy i brat ambasadora, Henryk Skirmunt z Pińszczyzny.

Wielkim admiratorem Świtezi, choć pochodził z dzielnicy bogatej w jeziora, był ks. Napierała, proboszcz z Gniezna. Zaprzyjaźnił się z rodzicami mojej synowej Janowej, Niezabytowskimi, kiedy zmuszeni do opuszczenia swego majątku Bazewicze nad Berezyną w pow. bobrujskim, zamieszkali koło Gniezna, dopóki on nie został ministrem rolnictwa.

Na miejscu spalonej w 1916 r. tak pamiętnej mi starej karczmy stanął staraniem Tow. Turystycznego i Krajoznawczego dworek, naśladujący historyczny dom w Mereczowszczyźnie, w którym się urodził Kościuszko, z nieźle zaopatrzoną restauracyjką i paru pokojami gościnnemi. Stał się on jakby centralnym punktem „szlaku mickiewiczowskiego", tem bardziej że oddalony o parę kilometrów Czombrów najwięcej przypominał dwór soplicowski według opisu w „Panu Tadeuszu".

Wiem, że wielu sąsiadujących z tym szlakiem, jak właściciele Czombrowa, pp. Karpowiczowie, gorliwi działacze ludowi, Adolf Brzozowski z Izabelina, Becker z Horodziłówki Kiersnowskich pod samym Nowogródkiem, już przed zimą 1940 r. utracili życie, a bardzo wielu innych, nawet z wiosek i zaścianków, wygnano daleko, skąd już powrót bywa nader rzadki.

Wspomnienia z tych dawnych wędrówek po kraju uniosły mnie narazie na wschód, ale pęd wspomnień bywa niekiedy tak przemożny, że się nie da powstrzymać czy skierować siłą woli.

Powracam znowu do równie mi drogiej, jak strony rodzinne, Warszawy.

IGNACY BALIŃSKI.

UCZCIE SIĘ ANGIELSKIEGO TERAZ
Kursy elementarne i średnie, codziennie od godz. 9 rano do godz. 10 wiecz.
Specjalne kursy dla zaawansowanych.
Nauka wymowy dla wystąpień publicznych.
THE LONDON SCHOOL OF ENGLISH
319, Oxford Street, W.I. tel.: MAY 2120
Nauczamy wszystkich języków.

STRATTON STREET PICCADILLY, W.1
Phone : MAYFAIR 7807-9
LE COQ D'OR RESTAURANT
MAISON FRANÇAISE
Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

KAŻDY POLAK
który pragnąłby otrzymać NOWY TESTAMENT lub EWANGELJĘ św. JANA w języku polskim zechce łaskawie zwrócić się do
p. S. K. HINE
110, Christchurch Road, London, S.W.2

L'ESCARGOT Bienvenu RESTAURANT
maison française
Partners: Geo Gaudin, Alex Gaudin (French)
Service à la carte
48, Greek Street, Shaftesbury Ave., London, W.1
Phone: GERrard 4460

POLSKI KUŚNIERZ
dawniej w Katowicach
LANGER & COMPANY (Furriers) LTD.
Wykonywa futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju. Futra na składzie. Specjalne udogodnienia dla prowincji
59, KNIGHTSBRIDGE, S.W.1. tel. SLO 3626

PORTMAN HOUSE RESTAURANT
Restauracja i kawiarnia
Wyborna kuchnia czeska
Ciastka domowe
Otwarta codziennie do 9-ej wiecz.
1 a/b, BAKER STREET, LONDON, W.1
tel. WELbeck 8219

Vaněk KRAWIEC i KUŚNIERZ CZESKI
Korzystna zamiana i kupno futer w dobrym stanie
Pierwszorzędne kostjumy i palta zimowe na zamówienie
4, William Street, Knightsbridge, również w Bournemouth

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 100%
PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY, ZŁOTO (168/- ZA UNCJĘ)
Biżuterje, klejnoty, kamienie szlachetne, srebro, platery, antyki i kosztowności wszelkiego rodzaju. Gotówka natychmiast. Prosimy o odwiedzenie nas; zgłoszenia przesyłką poleconą albo telefoniczne : MAYfair 5825
LINDEN & CO. 85, New Bond Street, London, W.1
PIERWSZY SKLEP JUBILERSKI PRZY NEW BOND ST.

THE HANDBAG REPAIR SHOP
124, Baker Street, London, W.1
NAPRAWA TOREBEK DAMSKICH
Nowe podszewki — naprawianie zamków i zatrzasków
Niema dla nas nic zbyt małego lub zbyt wielkiego

B. BOSHER & SONS
464, Edgware Road, London, W.2
tel.: PADdington 1482
Secondhand Furs for Sale
Loans on Furs and Jewellery
Special Fur Storage

ADAM PRAGIER

Powszechna organizacja międzynarodowa

Ogólne zasady odbudowy życia zbiorowego po wojnie zostały zgrubsza sformułowane w karcie atlantyckiej. Ale karta atlantycka, z natury rzeczy, ogranicza się do samego tylko ich wskazania. Po wojnie, współpraca międzynarodowa będzie musiała znaleźć sobie właściwe drogi do ich urzeczywistnienia.

Niewątpliwie pojawią się na tej drodze różnorakie trudności, których nie można jeszcze przewidzieć, podobnie jak wojna postawiła przed światem całkiem nowe zadania, o których nic przedtem nie wiedziano. Do wysiłku zbiorowego, wynikłego z konieczności prowadzenia wojny, przyzwyczajono się od niepamiętnych czasów. Wojny nie uważa się za proces, dokonywający się bez świadomego kierownictwa. Wojnę zawsze „prowadzi się", i to każdą wojnę — nie tylko totalną. Natomiast pokój przywykliśmy uważać za „normalny" stan rzeczy, który trwa samoczynnie, dopóki nie naruszy go incydentalne zdarzenie — konflikt wojenny.

W rzeczywistości, pokój trzeba koniecznie także „prowadzić". Trzeba czynić wiele wysiłków, aby zapewnić organiczną trwałość pokoju. Pokój, całkiem tak samo jak wojna, nie jest stanem rzeczy statycznym, lecz wysoce dynamicznym, i trzeba pilnie i nieustannie czuwać nad takiem kształtowaniem jego dynamiki, by pozostawał w równowadze dostatecznie stałej. Konieczność tę stwarza w szczególności wojna totalna, a dziś już każda wojna musi być totalna. Stąd właśnie wysiłek, zmierzający do przebudowy świata, celem zachowania pokoju, musi być także totalny. Albowiem po wojnie totalnej, tylko pokój totalny ma widoki trwałości.

Przyszła organizacja świata powojennego będzie musiała być oparta na doświadczeniach z okresu dwudziestoletniego zawieszenia broni oraz drugiej wojny światowej. Liga Narodów okazała się bezradna nie dlatego, że zadania, jakie stawały przed nią, były zbyt wielkie, lecz dlatego, że w rzeczywistości nie ośmieliła się podjąć na serjo żadnego ze stojących przed nią wielkich zadań. W taki sposób znalazła się sczasem całkiem poza porządkiem zdarzeń. I nie mogło być inaczej. Liga Narodów nie była bowiem niczem innem, niż ugrupowaniem mającem służyć porozumieniu politycznemu państw, a porozumienie takie nie było możliwe do osiągnięcia, gdy główne mocarstwa nie zdołały ustalić sobie wspólnych zasad organizacji życia zbiorowego, politycznych i gospodarczych. Nowa powszechna organizacja międzynarodowa powinna zajmować się tylko takiemi sprawami, które będzie mogła załatwiać w sposób ostateczny. W zakresie politycznym, będzie musiała mieć możność pobierania decyzyj w sprawach o znaczeniu powszechnem i nadrzędnem. Wszelkie sprawy z zakresu stosunków regjonalnych, powinny być pozostawione innym czynnikom, związanym bliżej i bardziej bezpośrednio z temi sprawami. Swoje zadanie strzeżenia pokoju spełni wszakże tylko w tym wypadku, gdy będzie miała potrzebną do tego siłę. Karta atlantycka przewiduje rozbrojenie państw napastniczych, przy jednoczesnem pozostawieniu uzbrojenia państwom usposobionym pokojowo a zagrożonym napadem. Teza ta może — oraz powinna — być powiązana ze sprawą tworzenia międzynarodowych sił zbrojnych, służących do obrony pokoju, a będących do rozporządzenia organizacji nadrzędnej, wiążącej wszystkie państwa pokojowe. Obok międzynarodowej siły zbrojnej, będą mogły pozostać w pewnym zakresie także narodowe siły zbrojne, pod odpowiednią kontrolą.

W zakresie gospodarczym, powszechnej organizacji międzynarodowej przypadnie głos ostateczny w zagadnieniach planowania gospodarczego, na szczeblu najwyższym. W łonie tej organizacji będą też zapewne pobierane decyzje w sprawach obrotu kapitałów, towarów i sił roboczych. Sprawa uprzemysłowienia zacofanego gospodarczo obszaru Europy środkowo-wschodniej oraz sprawa lepszego wyzyskiwania obszarów kolonjalnych, postawi na porządku wielki program inwestycyj, o znaczeniu międzynarodowem. Powszechna organizacja międzynarodowa będzie zapewne złożona z kilku instytucyj, poświęconych poszczególnym grupom zagadnień i powiązanych wzajem w odpowiedni sposób. Zasięg terytorjalny tych instytucyj niekoniecznie musi być identyczny, lecz powinien być raczej dostosowany do ich swoistych zadań. W taki sposób, organizacja ta uzyska żywy kontakt z rzeczywistością i będzie rozwijała swoje działania odpowiednio do nasuwających się coraz to nowych zagadnień.

*

Powszechna organizacja międzynarodowa powinna objąć z początku tylko zjednoczone narody oraz takie państwa neutralne, które już teraz stosują w swojej polityce zasady karty atlantyckiej i zobowiążą się do przestrzegania ich w przyszłości. Państwa napastnicze powinny przez dłuższy czas pozostawać poza obrębem tej organizacji. Będą one oczywiście dopuszczone do współpracy gospodarczej z całym światem, tylko z takiemi zastrzeżeniami, które mają zapobiegać wznowieniu ich gotowości wojennej. Dopuszczenie ich, narówni ze zjednoczonemi narodami, do wspólnego stanowienia w najważniejszych sprawach ogólnych, musi być wszakże uzależnione od głębszych zmian w ich ustroju politycznym oraz w ich postawie moralnej.

W związku z tem zagadnieniem, na czoło wysuwa się zagadnienie Niemiec. Zagadnienie to nie może być prawidłowo traktowane i skutecznie rozwiązane w oderwaniu od całości zagadnienia, jaki nasuwa organizacja przyszłego świata powojennego. Nie od rozwiązania zagadnienia Niemiec ma być uzależniona ta organizacja, lecz wręcz naodwrót, traktowanie Niemiec po wojnie musi być poddane wymaganiom tej organizacji. Oczywiście, musi ona być pojmowana realistycznie i oparta na siłach, gwarantujących zachowanie pokoju. Trzeba przytem opracować nowy system bezpieczeństwa zbiorowego. Wskazaniom, wynikającym z tego systemu, powinny odpowiadać przeobrażenia polityczne i gospodarcze, które muszą nastąpić w Niemczech, oraz — w odpowiednim zakresie — w inych państwach napastniczych.

*

W przemówieniu radjowem z dn. 21 marca 1943 r. Churchill wskazał w najgłówniejszym zarysie zasady, na których ma być oparta przyszła organizacja świata. Zasady te wiążą się z istotnemi wskazaniami karty atlantyckiej i stanowią niejako jej dopełnienie. Churchill pragnie, by „wzniosła koncepcja wolności, prawa i moralności, która ożywiała Ligę Narodów", stanowiła także na przyszłość podstawę stosunków międzynarodowych. Na tej właśnie podstawie ma być zbudowana „instytucja światowa, obejmująca czy reprezentująca zjednoczone narody, a kiedyś w przyszłości, wszystkie narody". W obrębie tej instytucji światowej, Churchill przewiduje utworzenie organizacyj terytorjalnych, mających swoje własne władze, i wymienia przykładowo Radę Europejską i Radę Azjatycką. Rada Europejska ma być w wielu dziedzinach prawdziwym rządem, powołanym do samoistnego działania, wyposażonym we wszystkie istotne organy rządzenia, i zarazem organicznie związanym z państwami europejskiemi, które będą stanowiły jej ogniwa. Ma ona być, jak mówi Churchill, „rzeczywiście sprawną ligą, mającą do rozporządzenia wszelkie potrzebne siły, trybunał najwyższy do rozstrzygania sporów, siły zbrojne, narodowe lub międzynarodowe albo obu rodzajów, zdolne do przeprowadzania jej postanowień oraz do zabobiegania ponownym napaściom i przygotowaniu do przyszłych wojen". W przyszłości wszystkie państwa europejskie mają być objęte tą organizacją. Churchill nie mówi wyraźnie, że państwa napastnicze mają pozostać narazie poza jej obrębem, ale wynika to niedwuznacznie z jego rozumowania. Co się tyczy t.zw. małych narodów, Churchill pragnie wprowadzić je w ramy powszechnej organizacji, w ugrupowaniach federacyjnych. Odpowiednio ukształtowane grupy małych państw mają mieć w Radzie Europejskiej reprezentacje przemawiające w ich imieniu, narówni z mocarstwami. Churchill powiedział o tem: „Sądzę, że warto starannie zbadać, czy nie byłoby wskazane, by obok mocarstw istniały ugrupowania państw lub federacje, które mogłyby wypowiadać się przez swoich wybranych przedstawicieli, co nadałoby Radzie charakter przedstawicielstwa wielkich państw oraz grup państw".

Opinje Churchilla, choć wyrażone w formie oględnej i ogólnej, dają jednak wcale wyraźne perspektywy stanu rzeczy, jaki wyobraża on sobie po wojnie, w świecie i w Europie.

1) Zwierzchnią organizację światową ma stanowić powszechne porozumienie państw, ożywione duchem demokracji, który przyświecał utworzeniu Ligi Narodów. Zasadzie powszechności nie czyni uszczerbku okoliczność, że państwa napastnicze będą objęte wspólną organizacją dopiero w czasie późniejszym, gdy doznają odpowiednich przeobrażeń.

2) Na niższym szczeblu tej organizacji powszechnej będą działały organizacje terytorjalne, obejmujące jednak w zasadzie obszary całych kontynentów.

3) W organizacjach tych będą uczestniczyły, na równych prawach, mocarstwa oraz ugrupowania średnich i małych państw. Także i w tych organizacjach, państwa napastnicze będą brały udział dopiero w późniejszym czasie.

Powyższy obraz przyszłej struktury politycznej świata wyraźnie wyłącza podział kontynentów na sfery interesów poszczególnych mocarstw. Zasadą tej struktury ma być współpraca wszystkich państw, na równych prawach, a udział średnich i małych państw w tej współpracy, nie w formie bezpośredniej, lecz przez ich regjolnalne ugrupowania, jest podyktowany wyłącznie celowością.

*

Oparcie organizacji światowej na zasadzie samych tylko powiązań kontynentalnych, nie mogłoby przynieść pożądanych skutków. Na półkuli zachodniej, współpraca państw amerykańskich posunęła się już dziś daleko. Bliższe związki polityczne z pewnością udoskonaliłyby ją, ale nie wprowadziłyby do niej istotnych zmian. Okazało się bowiem prawdą ponad wszelką miarę niewątpliwą, że bezpieczeństwo i pomyślność kontynentu amerykańskiego jest bardzo ściśle uzależniona, a tem samem solidarnie powiązana, z bezpieczeństwem i pomyślnością Europy i Azji. Dążenie do zerwania tych stosunków, oznaczałoby próbę powrotu do izolacjonizmu w zmienionej formie, próbę szkodliwą dla samego kontynentu amerykańskiego oraz dla całego świata. W Europie, federacja kontynentalna oznaczałaby — w takiej czy owakiej formie — przewagę Niemiec. W Azji — przewagę Japonji. Już to, samo przez się, stanowiłoby dostateczną przyczynę do zaniechania myśli o federacjach takiego typu, które byłyby przecież niczem innem, niż urzeczywistnieniem celów wojennych państw napastniczych oraz punktem wyjścia w ich dalszych wysiłkach do zawładnięcia światem. Ale jest inna jeszcze przyczyna, która przemawia przeciwko takim federacjom. Oto na ich podłożu wytworzyłyby się niewątpliwie dążenia do kontynentalnych autarkij gospodarczych, których następstwem musiałyby być także silne zaostrzenia polityczne. Nie prowadziłoby to do bezpieczeństwa i dobrobytu, lecz naodwrót, do groźby starć wojennych i do ubóstwa. W pewnych kołach amerykańskich, a także brytyjskich, rozważa się plan federacji państw anglosaskich lub szerszego warjantu tejże koncepcji — federacji atlantyckiej. Oba te zamierzenia zdążają do bliskiego powiązania państw zbliżonych kulturą, oraz pozostających na podobnym stopniu rozwoju gospodarczego i społecznego. Ten plan wydaje się ponętny i pozornie prosty, dzięki temu, że w państwach, które miałyby wejść w skład takiej federacji, — w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanji i w Europie zachodniej, — istnieje niewątpliwie podobieństwo ideałów współżycia społecznego, niema zaś wielu zagadnień, które nękają inne kraje i części świata. Ale ten plan nie liczy się z okolicznością, że wszystkie państwa, które miałyby wejść w skład takiej federacji anglosaskiej czy atlantyckiej, są powiązane w różnoraki sposób z innemi państwami i z częściami świata, które miałyby pozostać poza jej obrębem. Konstrukcja taka byłaby zatem nie tylko sztuczna, ale musiałaby doprowadzić do głębokich przeobrażeń w całym świecie, i to przeobrażeń o charakterze destrukcyjnym. Plan ten jest, w gruncie rzeczy, przeniesioną na teren stosunków europejskich, amerykańską formułą izolacjonizmu, ze wszystkiemi jej charakterystycznemi cechami.

*

W obrębie powszechnej organizacji międzynarodowej, której istotne cechy wskazał Churchill, struktura federacyj, jak również ich formy, powinny być poddane głównemu ich przeznaczeniu. Jest niem zapewnienie wszystkim narodom prawidłowego rozwoju w ramach tej organizacji, w bezpieczeństwie i w dobrobycie. Wynika stąd w praktyce, potrzeba tworzenia federacyj o charakterze regjonalnym, celem skomasowania średnich i małych państw, aby mogły łącznie brać skuteczniejszy udział w powszechnej współpracy międzynarodowej. Podstawową jednostką, tworzącą federacje regjonalne, pozostanie samoistne państwo narodowe. Będzie ono w zasadzie, jak jest dotąd, niepodległem państwem suwerennem. Wszelako jego suwerenność będzie funkcjonalnie podzielona, przez przekazanie pewnych jej atrybutów organizacjom nadrzędnym : federacji regjonalnej oraz powszechnej organizacji światowej i jej instytucjom. O tem, jaki zakres suwerenności ma pozostać przy państwie narodowem a jaki — oraz komu — ma być przekazany, powinna decydować wyłącznie tylko celowość. Organizacje wyższego rzędu powinny przejmować od państw narodowych tylko te atrybuty ich suwerennej władzy, które przez nie same nie mogłyby być skutecznie sprawowane. Takie ograniczenie suwerenności małych i średnich państw, na rzecz federacyj regjonalnych i powszechnej organizacji światowej, oraz mocarstw — tylko na rzecz tej organizacji światowej, nie oznacza wcale zniesienia czy też zakwestjonowania samej zasady suwerenności. Ewolucja tego pojęcia prawnego, faktycznie rozpoczęta już oddawna, a jaskrawo ujawniona w przededniu i w toku drugiej wojny światowej, przypomina raczej ewolucję pojęcia prawa własności, które również doznaje oddawna różnorakich przeobrażeń, nie tracąc wcale swego istotnego znaczenia. Konieczną wszakże jest rzeczą przestrzeganie, by wszelkie ograniczenia suwerenności na rzecz organizacyj nadrzędnych, dotyczyły wszystkich państw, objętych temi organizacjami, w jednakiej mierze. Ta zasada równości musi być w pełni zachowywana. Naruszanie jej stanowiłoby upośledzenie pewnych państw na rzecz innch i przeszkadzałoby ich solidarnej współpracy.

*

W Europie, strefa środkowo-wschodnia, scalona w ustroju federacyjnym, będzie stanowiła jedno z samoistnych ogniw w obrębie powszechnej organizacji międzynarodowej. Obok tej środkowo-wschodniej federacji regjonalnej, trzeba przewidzieć utworzenie podobnych ustrojów w innych częściach Europy, opartych także na zasadzie wspólności politycznej i gospodarczej państw, wynikającej z ich bliskości geograficznej i wielorakich powinowactw. Między poszczególnemi federacjami europejskiemi nawiąże się niewątpliwie sieć ścisłych stosunków, która znajdzie wyraz w nadrzędnej Radzie Europejskiej. Sczasem ta Rada Europejska obejmie wszystkie państwa Europy, ale już od samego początku swojego istnienia, jako wyraz potrzeb i dążeń państw europejskich będzie brała pełny udział w powszechnej organizacji międzynarodwej.

Przebudowa świata, której najogólniejsze zarysy podane są wyżej, przekracza swoją wielkością wszystkie zadania organizacyjne, z jakiemi ludzkość miała dotąd do czynienia. Żyjące pokolenie, w interesie wszystkich potomnych, będzie musiało wszakże podjąć wysiłki w celu jej spełnienia, gdyż inaczej nie znajdzie się wyjście z chaosu, w jaki świat popadł. Dwie wojny światowe w ciągu ćwierćwiecza, są dostatecznie alarmującemi objawami tego chaosu. Dlatego trzeba wierzyć, że ludzkość, po odparciu najazdu niemiecko-japońskiego na glob ziemski, znajdzie w sobie jeszcze dość sił dla dokonania pracy, potrzebnej do przywrócenia światu bezpieczeństwa.

ADAM PRAGIER.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć...

Czytelniku, przyznaj się, jak dawno temu miałeś w ręce „Konrada Wallenroda"? Chyba strasznie dawno, chyba jeszcze w szkole, gdy belfer nudził, prawiąc o twórczości młodego Mickiewicza, o romantyzmie, o trzech wieszczach wogóle, a ty, słuchając jednem uchem, myślałeś sobie raczej, że słońce świeci, że możnaby o tej porze grać w piłkę... Dzisiaj, pielgrzym czy wygnaniec, masz okazję wrócić do „Konrada Wallenroda", nieznośnego na ławie szkolnej, teraz, po latach, pełnego wzruszeń tajemniczych, jakich zawsze dostarcza poezja w wyborowym gatunku. Radzę ci, weź się do tej broszurki*). Otwórz na którejkolwiek stronie i czytaj. Sam jesteś trochę jak ów Konrad, który

...zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju.

Konrad był alkoholikiem, ty nie, ale przecież te słowa stosują się jakby do ciebie, który siedzisz w samotnym flacie. Czytaj a uderzy cię potężnem skrzydłem poezja, uderzą przedziwne aktualja, zawarte w owej pieśni o Aldony losach. Ona, ta pieśń, mówi do ciebie :

Pójdź do mnie ! Siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić !

Hm, na grobie narodów... Mickiewicz miał na myśli z wszelką pewnością mniejsze narody, czyli „smaller nations", i nad niemi płakał. My też płaczemy, czytając np. w „News Chronicle" z dn. 13 października przedziwną interpretację karty atlantyckiej : „Prawa mniejszych narodów i ludów kolonjalnych do rozwoju i postępu muszą być zapewnione i szanowane". Ot, co już z nami robią : mniejsze narody i ludy, raczej towary kolonjalne ! Do tegośmy doszli, przekroczywszy próg piątego roku wojny.

Wracajmy jednak do prostej powieści, gdyż powieść o karcie atlantyckiej zaczyna być zbyt trudna do zrozumienia. Aktualja w „Konradzie Wallenrodzie"? Mickiewicz w proroczem widzeniu przedstawia państwo totalne, żyjące wojną („Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje, o wojnę prosi, własnej żąda zguby..."), państwo, które hoduje sobie Quislingów, kimże bowiem, jeśli nie Quislingiem, jest np. Witold, który „dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu, przeciwko Litwie sojuszem związany". Podczas uczty siedzi „po lewicy tronu", jak jakiś Laval, ś.p. Borys bułgarski czy ks. Tisa. Państwo totalne Zakonu operuje piątą kolumną (str. 27), odrywa dzieci od matek (str. 34), cieszy się w przededniu wojny poparciem powszechnem i zewsząd dostaje pożyczki, jak Niemcy („mistrza wezwanie z całej Europy wyciąga skarby, oręże i wojska"), podczas gdy małemu państwu, Litwie, nie pomoże nikt. Nawet papież sprzyja totalnej wojnie, wydanej mniejszemu narodowi („Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca..."), słowem, analogje narastają co strona, piętrzą się, zwłaszcza przy charakterystyce Zakonu, jego buty nieznośnej, jego niszczycielskich zapędów :

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza...
. . . .
Takie jest życie — taka piosnka nasza.

Ależ to „Deutschland über alles", ależ to „Horst Wessel Lied"! I pożądanie „Lebensraum"u tak wtedy, jak dziś, i tak wtedy, jak dziś, poszukiwanie alibi („Dawno już cały kraj o pomstę woła za Litwy napaść..."), i tak samo rozbudowana sieć szpiegowska, i tak samo, jak dziś, chęć znalezienia „dobrych" Niemców („I Niemcy są ludzie"...), i taki sam koniec ofensywy, jak dzisiaj... Krew mrozi w żyłach opis powrotu wodza :

Już widać zdala : kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych. — Konrad ? Nasi wodze?
. . . .
Jakże ich witać ? Zwycięzcy czy zbiegi...
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną,
Walą się, depcą, jak podłe owady,
W ciasnem naczyniu ginące pospołu,
Pną się po trupach, nim nowe gromady
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wloką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,
Lecz ręce wznoszą i, stojące trupy,
Wskazują w miasto, jak podróżne słupy...

Czytając, mamy wrażenie, że jesteśmy w kinie, na „news"ach, że oglądamy etapy klęski stalingradzkiej. W romantycznej pieśni o Aldony losach święci tryumf nie co innego ale realizm, czyli że widzimy tu złączone dwa, tak z pozoru sprzeczne z sobą a tak równoległe kierunki. Czytając dziś „Konrada Wallenroda", przypominam sobie rewelacyjną niegdyś książkę Pellissier „Le réalisme du romantisme" i żałuję, że francuski teoretyk nie znał Mickiewicza. Jakże nawskroś realistyczny jest opis odwrotu Hitlera, t.j. pardon ! — chciałem powiedzieć — Konrada, gdy mowa o nieprzyjacielu wokoło rozproszonym, który niszczy posiłki, przecina dowozy, skutkiem czego „codziennie z nędzy marły Niemców krocie" i wróciło do kraju „wojsko upiorów".

Gdzieniegdzie przecieramy oczy, musimy czytać po raz drugi to samo zdanie o wodzu, który nie dbał zupełnie o to, co powie lud na wieść o klęsce. Konrad jest pewny, że jedna mowa wystarczy, by przekonać niechętnych, zmusić do uległości niesfornych. Wierzy w propagandę. Chwilami dziwimy się, że on nie mówi przez głośnik :

Drżał lud i szemrał — Konrad nie dbał o to.
. . . .
Spojrzał, przemówił, skinął — o, sromoto !
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy...
. . . .
Bo kogóż z ludzi nie przekona trwoga ?

Zdumiewające, prawda? Ale dajmy już pokój dalszym analogjom, choć jest ich wiele, a wszystkie przystają do dzisiejszej sytuacji równie ściśle, jak przepowiednie samej św. Otylji np. o małym lewku, jak wiersze Wernyhory i t.p., lecz są daleko piękniejsze, pełne wspomnianej powyżej poezji w doborowym gatunku. Czemże bo jest poezja? Chyba jest ona stanem wielkiego wzruszenia, które na cię uderza nagle, niespodzianie, które sprawia, że drżysz, że cię zaczyna coś łączyć z fikcją, stworzoną przez wyobraźnię poety. Zaczynasz kogoś kochać albo nienawidzić, zaczynasz obawiać się o czyjeś losy, ulegasz raptownemu lękowi przy słowach np. „Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć"... Niema przecież w tych słowach nic aktualnego i wogóle, mówią trzeźwo, co cię może obchodzić Litwa z owych odległych wieków ?

Niemniej zaczynasz śledzić rozwój akcji w niepokoju coraz to większym, jakby do ciebie samego miała dojść ta zaraza, która w Litwę niemal już uderza. Przerzucasz kartki i dochodzisz do słów : „Litwa pierwej czy później równej ulegnie kolei", i wzruszenie twoje wzrasta, galopuje, napełnia cię dreszczem, boisz się, że najeźdźcy wpadną, że

Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego...

Poczyna cię, czytelniku, boleć — niejako na zapas, a priori — los Litwy. Poeta nagiął cię całego do swojej woli, słuchasz go, idziesz za jego rozkazem, gdy mówi :

Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli :
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje...
Oto są wojen napastniczych dzieje !
Łacno je skreślić : rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga...

Wspaniałe ! I straszne zarazem ! Biedna Litwa ! A smaller nation... Widzisz ten kraj na dystans, w myśli bodaj „broniąc sprawy biednego narodu", ty, któremu także jakaś pieśń zdradziecka wlała w duszę jeśli nie głupią chęć sławy, to miłość ojczyzny. Ty, który — podobnie jak Aldona — nie mogłeś pojąć pewnych rzeczy :

...jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna, jak świat, jest długa, szeroka,
bez końca ;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie
było schronienia.

I pomyślmy, że właściwie cały „Konrad Wallenrod" jest wspaniałym trickiem, zastosowanym wobec cenzury najbardziej w świecie prewencyjnej, bo cenzury rosyjskiej sprzed zgórą stu lat. Prewencyjność tej cenzury polegała m.in. na tem, że poetę przeniesiono z Odesy do Moskwy, aby go mieć na oku. I Mickiewicz, naówczas urzędnik, skryba marny w kancelarji księcia Golicyna, pisze tuż pod nosem swych aniołów-stróżów, poemat najbardziej pod słońcem niebłagonadiożny, w którym zaleca stosować taktykę zdrady, czyli taktykę „wallenrodyzmu" wobec wrogów aktualnych. Właśnie w Moskwie powstał ten poemat, napozór niewinny, ta romantyczna pieśń o Aldony losach, w rzeczywistości zaś vademecum, podręcznik wiedzy o tem, jak wkraść się w zaufanie wroga, pozyskać jego wiarę, wziąć w ręce jego broń własną i przeciwko temuż wrogowi ją obrócić.

Lecz tu może kończy się realizm tego romantyzmu i zarazem kończą się wszelakie analogje, którebyśmy chcieli wysnuwać.

Realistyczna powieść Mickiewicza jest jednak i mimo wszystko powieścią o Niemcach. Oni stanowią jej temat a resztę „czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa !", jak tego żąda poeta. Stało się dobrze, doskonale nawet, że „Konrad Wallenrod" znalazł ryzykanta-wydawcę, który naprzekór niektórym czynnikom służy wedle sił kulturze polskiej. Wyobrażam sobie, do jakiego stopnia ten mały tomik drażnić musi pewnego wielkiego a małego dygnitarza. Biedny człowiek, współczuję mu.

Pożyteczna zewszechmiar broszurka, niemniej mam pewną pretensję do wydawcy, mianowicie zgłaszam reklamację w sprawie motta, które Mickiewicz umieścił na wstępie do „Konrada Wallenroda", a które jakoś przepadło w tej londyńskiej edycji. Za motto—chyba mnie pamięć nie myli—wziął Mickiewicz słowa Machiavella „Bisogna essere volpe e leone", czyli : „Trzeba być lisem i lwem". Jaki cel przyświecał wydawcy, nie umiem powiedzieć. Czyżby, ze względów ściśle handlowych nie chciał irytować kogoś, kto nie może być ani lisem ani lwem, kogoś kto już zawsze musi być tem, czem jest ? Byłby to objaw delikatności i subtelności posuniętej bardzo daleko.

Dajmy jednak pokój tej zoologji czy menażerji, cieszmy się pięknem „Konrada Wallenroda", my, dla których dawno „zniknęły lasy i ojczyste góry", my, którym narazie została tylko pamięć — ta pamięć, działająca jak czarodziejska „lampa z kryształu", my, którzy moglibyśmy się modlić słowami :

Boże mój...oby się spełniło !
Obyśmy w strony ojczyste wróceni...
. . . .
Odżyli znowu ! Niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni !

Amen !

ZYGMUNT NOWAKOWSKI.

*) Książnica Narodowa. *Adam Mickiewicz.* Konrad Wallenrod. Londyn, M. I. Kolin, 1943 ; str. 67 i 1nl.

ROCZNIK BIBLIOGRAFICZNY
druków w języku polskim oraz w językach obcych o Polsce, wydanych poza terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej w okresie 1 styczeń 1942 – 31 grudzień 1942
Tom II
Opracował
T. SAWICKI
Str. 140 Cena 5s.
Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach

Kuśnierz kontynentalny
CHARLES TANUR
przerabianie i odświeżanie futer
48-50, Mortimer Street, W.1. MUSeum 2789

POLKI ODWIEDZAJĄ SALON FRYZJERSKI
LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1
Mówi się po angielsku, francusku, włosku i niemiecku
Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICtoria 9508

W poprzednim numerze (188) „Wiadomości Polskich" (1 ilustracja) : *Zygmunt Nowakowski :* Boży pokój. — *Zbigniew Grabowski :* Niebezpieczna przeprawa. — *Jan Rostworowski :* Park wieczorny. — Poland, Russia and Great Britain. — *Aleksander Janta :* W niewoli niemieckiej. Na wieś. — *Jerzy Rostworowski :* Julek kupuje sobie żonę. Opowieść afrykańska. — *Teodozja Elwicz :* „Wiara góry porusza"... — *Henryk Gotlib :* Wystawy. — *ap. :* Rzecz o Jaurèsie. — *mśc. :* Przygody polskiego okrętu podwodnego. — *Rafał Klinga :* O pomoc dla jeńców. — Miscellanea. — Korespondencja.



8 GRUCZOŁÓW
decyduje o twoim losie
[obecnie zaś możesz regenerować gruczoły]

NAUKA WSPÓŁCZESNA dotarła do źródła życia ludzkiego — do gruczołów. Poprzez odradzanie gruczołów otwierają się nowe horyzonty we wszystkich kierunkach twórczości ludzkiej. Oto proste fakty. Wszystkie twoje działania oraz właściwości fizyczne i umysłowe, twój wzrost, waga i temperament, zależne są od twych t.zw. ENDOKRYNALNYCH gruczołów, czyli gruczołów WEWNĘTRZNEGO WYDZIELANIA. Gruczoły te mają nie tylko swe funkcje niezależne, ale działają ponadto jako cały układ. Wydzieliny ich, krążąc razem z obiegiem krwi, rządzą wszystkiemi objawami twej energji — umysłowej, fizycznej, nerwowej i płciowej.

Człowiek ma tyle lat ile jego gruczoły . . . Od mocy i równowagi tego wydzielania zależy twoja siła. Sprawność twoja osiąga najwyższy poziom tylko wtedy, gdy gruczoły twe funkcjonują właściwie. Słabość jest w tym samym stopniu wynikiem braku równowagi jak niedostatecznego wydzielania. Lecz i to i tamto może być uleczone zapomocą hormonoterapji.

Cierpisz na przedwczesne starzenie się? Na utratę energji i żywotności, słabość, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle ogólne? Wzrok twój się psuje, łysiejesz? Stwierdzasz u siebie neurastenję, wyczerpanie umysłowe, nerwowe zaburzenia trawienia, częściowy lub całkowity zanik sił męskich? Wszystkie te stany są objawami niedostatku lub braku równowagi, które mogą być leczone tylko przez twoje gruczoły.

HORMONOTERAPJA jest nauką o odmładzaniu przez odradzanie gruczołów. Działa w sposób odwrotny niż lekarstwa — odbudowuje nanowo, zamiast tylko podniecać energję życiową. Dociera do samego sedna niedomagań umysłowych, nerwowych i płciowych. Dowiedzione jest, że **przywraca pełnię energji, utraconą wskutek choroby, wieku, a nawet chronicznego osłabienia.**

Brytyjskie Wytwory Gruczołowe

Do „British Glandular Products Limited", (P.W.N.) 107 35, Albermarle Street, London, W.1.
Proszę nadesłać mi broszurę Panów „Istota życia" (załączam znaczki pocztowe na 3d.) lub też proszę nadesłać mi 100 tabletek marki „TESTRONES" (męskie), albo 100 tabletek marki „OVERONES" (żeńskie), na co załączam 10s. Prosimy o wykreślenie słów niepotrzebnych.
NAZWISKO ....
ADRES ....



Coraz powszechniej używają oficerowie
PASTY
NUGGET
WOJSKOWY BRĄZ
(w pełnym tonie koloru)
dla nadania swym bucikom pięknego połysku i elegancji
Również w kolorach czarnym i ciemnobrązowym
Produkcja zmniejszone — używajcie oszczędnie
N/P/I

DOLEGLIWOŚCI SERCOWE
Spróbuj sławnego środka, który przynosi wszystkim ulgę

Nie niepokój się tem, że cierpisz na palpitacje lub bóle w okolicy serca. Może to pochodzić z niestrawności lub z wyczerpania nerwowego. Shadforth Tonic No. 632 (znany jako „Blue Lion Fox Nuts") wzmacnia serce i dobrze działa na żołądek i nerki. Nie wmawiaj sobie choroby, wypocznij, zażyj ten środek, a w parę dni będziesz się znowu czuł dobrze. Żądaj Shadforth Prescription No. 632. Środek ten zapobiega palpitacjom, słabości, drżeniu, złemu samopoczuciu i uczuciu ogólnego osłabienia. Cena 1/1½, 2/10 i 5/0½. Do nabycia w najbliższej aptece.
SHADFORTH PRESCRIPTION SERVICE, LTD.
Dept. (VP 594), 63, Grove Road, Bow, London, E.3

O TERMINY ANGIELSKIE W JĘZYKU POLSKIM

SZRAMCYJER

Przeczytałem artykuł p. Karola Zbyszewskiego „Nie obawiajmy się słów angielskich“ w nr. 179 „Wiadomości Polskich“ i zapadłem we wspomnienia.

Wogóle „Wiadomości“ mają pod tym względem szczególną właściwość: ile razy je widzę — zawsze stają mi przed oczami dawne dzieje, oddzielone od teraźniejszości coraz szerzej rozwierającą się przepaścią obecnej wojny.

Artykuł jednak p. Zbyszewskiego kazał mi wykonać znacznie dłuższy skok w przeszłość, przez dwie wojny z dodatkami i z całym okresem niepodległości aż do czasów, o których dziś tak mało się pamięta a które były kolebką moją i wszystkich innych polskich pięćdziesięciolatków.

Było to samo zaranie w. XX, gdy kwitnął jeszcze „fin de siècle“, lecz było już po wystawie paryskiej, po wojnie burskiej, po wojnie rosyjsko-japońskiej, po rewolucji 1905 r., po szarży kozaków na pl. Teatralnym w Warszawie, po strajkach szkolnych i po walkach bratobójczych w Łodzi.

A propos — było to właśnie w Łodzi (chwilowo Litzmannstadt, Warthegau, Deutschland), w mieście, które się chwaliło że jest polskim Manchesterem (łodzianie, będący w Anglji, sprawdźcie tę nieprawdopodobną legendę!) i którego znaczenie dla kultury polskiej do dziś dnia nie zostało jeszcze docenione należycie spowodu nieuzasadnionego kompleksu niższości charakteryzującego łodzian (niektórzy mówili, że to kompleks „mniejszości“).

Wystarczyło np. zapytać łodzianina: „Czy pan z Łodzi?“, żeby usłyszeć niemal gniewną odpowiedź: „Nie, panie, wypraszam sobie, z miasta Łodzi“. Typowe dla kompleksu.

Z tą to Łodzią (chwilowo Litzmannstadt, Warthegau, Deutschland) wiążą się ściśle wspomnienia mego pierwszego dzieciństwa (każdy z nas przeżywa wiele dzieciństw, obecne jest chyba szóste lub siódme) i w tych zamierzchłych wspomnieniach znalazłem echo tego czegoś tak dobrze znanego — co właśnie mnie uderzyło przy czytaniu artykułu p. Zbyszewskiego.

Przez parę chwil nie mogłem jeszcze powiązać ze sobą tych dwóch tak odległych od siebie epok — aż nagle doznałem olśnienia, gdy moja podświadomość wyrzuciła na powierzchnię dawno zapomniane słowo — już wiem!

I przypomniałem sobie! Wszak to było to samo! Postęp techniczny szedł wówczas tak samo „nie z Garwolina“, i ta Łódź, która wówczas była technicznie pod urokiem Zachodu, a administracyjnie pod...butem Wschodu, z obu tych kierunków czerpała swoje bieżące słownictwo, ściśle w myśl zasad, których rzecznikiem jest p. Zbyszewski, uprzedzając jednak to odkrycie o dobrych lat czterdzieści co najmniej.

Toteż „precyzyjnych“ terminów branych z Zachodu nie brakło — powszechnie się słyszało takie perły precyzji, jak *szramcyjer*, *sztamajza*, *fajrant*, *lon* i setki temu podobnych, które weszły, zdawało się, na stałe do codziennej mowy polskiej masy pracującej.

Ta sama plebiscytowa metoda przyjęła się w słownictwie administracyjnem. Nie było polskiej administracji, więc mówiąc o jej czynnościach, z natury rzeczy, w myśl metody proponowanej przez p. Zbyszewskiego, wprowadzono słownictwo źródłowe, rzeczywiście „precyzyjne i oddające najlepiej istotę rzeczy“ — jak *uczastek* i *rewirowy*, *ciurma* i *zsyłka*, na którą się jechało w siną dal Syberji z *foksalu fabryczno-łódzkiej drogi żelaznej*.

Co za analogje!

Tak więc lud polski w Łodzi (chwilowo Litzmannstadt, Warthegau, Deutschland), gdzie się najjaskrawiej ścierały Zachód ze Wschodem, z pewnością nigdy w potocznej mowie nie używał tego „jedynego czysto polskiego słowa *kołacz*“ a zato czerpał bogato, dosłownie na prawo i lewo różne *szramcyjery*.

Gdyby wtedy poddano się temu swoistemu defetyzmowi językowemu, według recepty proponowanej przez p. Zbyszewskiego, i nie wpływano na polską biologję słowotwórczą, w cóż zamieniłby się język polski, który pod trzema zaborami obrastał w „precyzyjne i najlepiej oddające istotę rzeczy terminy“, jak *towary krótkie*, *trafika* i *sacharmarożny*?

Jednak zrobiono z tem porządek, i niewielu z nas zdaje sobie sprawę z tego że polskie słownictwo naukowe i techniczne stanowi jeden z najpiękniejszych dorobków tych wysiłków, już nie oczyszczających, lecz poprostu przeczyszczających język polski (w Łodzi używano miejscowego terminu na przeczyszczenie, też z kategorji „precyzyjnych“, a mianowicie że ma *rajzę*).

Naturalnie że nie wymyślili tego słownictwa ani Wiech, ani Tuwim, ani Norwid, natomiast Żeromski, który był doskonałym matematykiem, określił jedną ze swych powieściowych kanap jako *niemal styczną* z podłogą, choć mógł był użyć wyrażenia *asymptotyczną*.

Z chemji zniknęły *kwasoród*, *wodoród* i *nitrogen*, a powstały *tlen*, *wodór* i *azot* — i całe ogromne nowe polskie słownictwo chemiczne, i nie tylko słowo *tlen*, o które odniechcenia potrąca p. Zbyszewski — jest przepięknym wzorem logicznej budowy i dźwiękowej swojskości.

Tak samo w matematyce — żaden naród na świecie nie ma tak własnego słownictwa matematycznego, jak polskie. Wszędzie jest ono łacińsko-greckie.

Nasz słownik wyrazów technicznych zasługuje na uwagę — literat i dziennikarz nie znajdzie tam już *szramcyjera*; język naukowy, którym mówią polscy uczeni i inżynierowie, jest bardziej jasny, przejrzysty i polski, niż ten którym się posługują nasi dziennikarze. Powiem więcej — słownictwo to jest mało znane naszym literatom.

Możnaby, wychodząc z założenia p. Zbyszewskiego, oprzeć się na celowości porozumiewania się międzynarodowego, a więc zamiast *ciśnienie*, zacząć mówić *presja*, zamiast *napięcie* — *tensja* i t.p., ale ten wynalazek też już dawno znany jest na świecie, gdyż mylnie twierdzi p. Zbyszewski, że nie potrafi się porozumieć „murzyn mruczący: ba-ba-bu-beeem z Eskimosem, klekoczącym: kwa-kwa-kwa“. Niestety, już oddawna i to na całym świecie, we wszystkich portach i murzyni i Eskimosi używają t.zw. „piggin English“, który tak gorąco p. Zbyszewski zaleca do użytku służbowego m.in. w lotnictwie polskiem.

Co do słownictwa wojskowego, i tam poczyniono starania o spolszczenie go, i wiele z wyrazów, które cytuje p. Zbyszewski, ma swoje dobrze znane odpowiedniki polskie: *mobilizacja* — *powołanie*, *magazyn* — *skład*, *fortyfikacje* — *umocnienia*, *kapitulacja* — *poddanie się*, *gratulacje* — *życzenia*, *dezorganizacja* — *rozkład*, *nieład*, *panika* — *popłoch*, *denuncjacja* — *donosicielstwo*, *dezercja* — *ucieczka*, *dekoracja* — *odznaczenie*, *honor* — *zaszczyt* i t.p.

W słownictwie dyplomatycznem mamy *posła* i *ambasadora* (Niemcy natomiast mają *Botschafter* i *Gesandte*, jak Rosjanie *posoł* i *posłannik*), ale tutaj ponieważ wogóle językiem dyplomacji jest właściwie język francuski, więc niema gwałtownej potrzeby funkcyjnej polonizowania tego rodzaju terminologji, czyli zasada p. Zbyszewskiego może się tutaj utrzymać, i nikogo nie będzie szczególnie raziło, czy się powie *negocjują*, czy też *traktują*. Natomiast wszędzie tam, gdzie dane słowa są przeznaczone na użytek masowy, szczególnie społeczeństwa pracującego, jak klasa robotnicza czy włościańska, musimy tępić wszelkiego rodzaju *szramcyjery*.

Wiedzą o tem i rozumieją to doskonale Niemcy i ogromny wysiłek dziś wkładają w to by właśnie tym masom polskim odebrać możność mówienia polskiem słowem i oddychania atmosferą dobrego języka, bo wiedzą że język jest najsilniejszą ostoją narodu.

Jeżeli uda im się wprowadzić na użytek codzienny takie właśnie *szramcyjery* czy jazdę *baną* zamiast *koleją* — będą radzi. Tego rodzaju wyrazy działają jak *intruder*. Niemcy nam nawet *kołacza* odmówią jako jedynego polskiego słowa.

Nasze słownictwo naukowe i techniczne zaczynało się na łacinie, grece, włoskim, niemieckim i t.d., potem się slawizowało dość nieudolnie, wreszcie poszło swojemi drogami. To tak jak z mojem biurkiem — przez pół roku robię na niem nieporządek, co pół roku robię generalną „czystkę“.

Jeżeli wziąć takiego chłopka spod Ozorkowa, którego nędza rodzimych piasków przygnała jeszcze ze słomą niewyczesaną z potarganych włosów i z tradycyjnie otwartą gębą do molocha przemysłowego w Łodzi, to naturalnie że dostawszy od niemieckiego majstra przyrząd do ręki, nazywał go za nim tak, jak ten mu mówił, ale ten sam polski chłopek już jako mechanik w polskim zakładzie przemysłowym potrafił nie tylko nazywać, ale rozumieć, dlaczego mówi *odkrętka* i *nakrętka*, zamiast *szramcyjer* i *mutra*, i inaczej już nie mówi oddawna.

Czyżby polskiemu literatowi przychodziło to trudniej? Byliśmy pod tylu zaborami, na tylu przejściowych emigracjach, mamy tak wielkie stałe emigracje w obu Amerykach — gdybyśmy tak sobie popuścili pod względem dyscypliny językowej — ładniebyśmy wyglądali!

Dziś p. Zbyszewski w Londynie może powiedzieć do *drajwerki*: „Chodźmy na *drinka* zanim zrobi się *blackout*“, ale gdy wrócimy do Warszawy, napewno nie będzie mówił tym językiem.

Tam też wyrabia się swoisty język, nowych wyrazów przybyło dużo — powstała *riksza*, którą nasi koledzy trudem własnych nóg wożą Niemców po Warszawie, powstała *łapanka* (jak chowanka), *Kapo* (jak Gestapo), *trojhender* i in., a oprócz tego wiele dawnych naleciałości nabrało naprawdę przeraźliwego blasku, *aresztowanie*, *egzekucja* i in; i te napewno tak się zagnieździły w polskim języku, że ich się już nigdy nie wypleni i napewno nie dadzą *busta* na *intruderze* z *dispersalu*.

Niema obawy!

Zanim się zabierzemy do wchłaniania jędrnych angielskich określeń — jeszcze raz sięgnę do moich łódzkich wspomnień.

W tych zamierzchłych czasach obchodzono cudze święta, zwane *galówkami* (termin, który tak jak *stróż* został wyparty ze względów prestige'owych przez *dozorcę*, zastąpiono przez *święto narodowe*).

Na te galówki spędzano w ordynku szkoły do kościoła. Młode nasze temperamenty, po takich formalnych reprezentacjach, musiały się wyładować, toteż po rozpuszczeniu nas przed kościołem, waliło się gromadą do pobliskiego parku na masowe, międzyszkolne zapasy, poprostu bójki.

Kiedy się jedna grupa miała rzucić na drugą by uzyskać decyzję, wtedy zawsze jakiś niezbędny wódz zaczynał rozgrzewać swoich, skandując okrzyk bojowy: „Hulala! Szturma! Fiksa! Dróóó...ów!“. Na to ostatnie hasło wszyscy hurmem rzucali się w bój, krzycząc: „Hurraaaa!“.

Otóż ten okrzyk bojowy zawsze mnie intrygował, gdyż używali go wszyscy, zarówno my ze szkół średnich jak i chłopcy z Bałut, z Karolewa czy Widzewa, bezcenzusowi.

Analiza filologiczna tego okrzyku dała nadspodziewane rezultaty. Okazało się że *hulala* pochodzi od francuskiego *oh! la la!* tak dobrze nam wszystkim znanego; *szturma* — od niemieckiego *stürmen*; *fiksa* — od angielskiego *fix him*, a *drów* — od niemieckiego *drauf*.

W tym bojowym okrzyku smarkaterji łódzkiej zawarta jest swoista historjozofja, jeżeli do tego dodać jeszcze i rosyjskie *uraa!* Czyż niema w tem czegoś pierwotnie symbolicznego? Co za jakieś nieodkryte nawarstwienia historyczno-uczuciowe! Toż to niemal geopolityka.

Ilekroć w Warszawie widziałem oficjalne towarzystwo, sunące limuzynami z reprezentacyjnych obiadów do „Adrji“, „Bodegi“ lub „jeszcze lepiej“, zdejmujące w samochodach i w garderobach „grand-cordony“ i zamieniające jedne „gwiazdy“ na inne „gwiazdy“ przy boku... zawsze mi się przypominała ta naturalna potrzeba wyładowania temperamentu, zduszonego na galówce.

I przyznam się że nieraz, pobrzękując odpiętemi orderami w kieszonce białej kamizelki, musiałem zwalczać nieodpartą chęć, jaka mnie ogarniała, żeby ryknąwszy ochrypłym głosem: „Hulala! Szturma! Fiksa! Drów“ Uraaaa!“ i wziąwszy za pozycję wyjściową próg takiej czy innej roztańczonej „Adrji“, dać potężnego byka głową naprzód w spocony i ziejący drinkami tłum warszawskich oficjałów, dyplomatów i poprostu warszawiaków!

Odzywał się we mnie wtedy ten ukryty kompleks *szramcyjera!* Cóż, kiedy nawet mój szofer Lewandowski, któryby Wiecha pobił o trzy długości w warszawskiej językologji, już w tym okresie oddawna mówił: *gaźnik* zamiast *karburator* (jak chce p. Zbyszewski), *silnik* zamiast *motor*, *palnik*, *spawanie*, *prądnica* i t.d. Czułem się wtedy zawsze pobity, nierozumiany i tak bardzo „out of date“!

Otóż tezy artykułu, który omawiam, wydają mi się też „out of date“. Wszystko to już było, były *szramcyjery*, teraz wyskoczyły *intrudery* — i niejedno jeszcze wyskoczy. Panta rei! Wszystko płynie wartkim potokiem, i język polski też — i zawsze potrafi wyprostować *busta* nie w tę stronę zrobionego. Na biurku co pewien czas musi się robić porządek, i puryści też są potrzebni jak miotła do zamiatania podwórka.

Nawet w języku japońskim są obce wyrazy, jak chleb — *pao*, nóż — *najfu* i widelec — *forku*. Takie sobie zwykłe codzienne wyrazy, poprostu dlatego że w Japonji nie znano tych przedmiotów. Pierwszy raz chleb widzieli u Portugalczyków, a noże i widelce u Anglików. I tak zostało, i trudno się domyśleć że są obcego pochodzenia. Jabym jednak nie chciał żeby dowodem tego żeśmy zbyt wielu rzeczy nie umieli i nie znali, były potem ślady językowe, jakie proponuje p. Zbyszewski, poprostu dlatego, że tak nie jest, i dlatego trzeba starannie dostosowywać język do nowych warunków, bo inaczej za psów nas będą mieli.

Polacy nie gęsi, i swój język mają. Tu znów muszę wpaść w grzech wspomnień na chwilę, aby pokazać, jak potrafią się dostosowywać do nowych zjawisk językowych.

Naprowadziła mnie na to *hałda* (nie *chałda*, jak pisze p. Zbyszewski); to górnośląskie słowo pochodzi od niemieckiego *Halde* (zsypisko, na które idzie szlaka z wielkich pieców).

Kiedyś, w okresie przedplebiscytowej gorączki i przygotowań do trzeciego powstania, późnym wieczorem spotkałem koło mostu w Szopienicach, trzech będących mocno pod gazem pieronów, którzy okładali jakiemiś swego wyrobu bykowcami słupki betonowe podtrzymujące balustradę. Sprawiało im wyraźnie przyjemność próbowanie sprawności tych narzędzi, ale znając porywczość i zmienność nastrojów pierońskich wolałem zabezpieczyć się przed nieoczekiwaną zmianą frontu ich zainteresowań i zapytałem, co tak grzecznie robią tutaj?

Dostałem raźną odpowiedź:

— Próbujemy *plecybity* na *plebiscyty*...

No co, może zły język polski? Jeszcze się coś w nim kołacze poza *kołaczem*...

JAN KOWALEWSKI.

SŁOWNICTWO MORSKIE

W nr. 179 „Wiadomości Polskich“ ukazał się artykuł p. Karola Zbyszewskiego „Nie obawiajmy się słów angielskich“. Autor wypowiada w nim m.in. swoje zdanie o polskiej terminologji morskiej.

Zabierając głos w tej sprawie, nie mam zamiaru ani wdawać się w polemikę z p. Zbyszewskim, ani też przekonywać go o słuszności moich wywodów, pragnę tylko poinformować tych, którzy interesują się terminologją morską, że my — stykający się z nią bezpośrednio i codziennie — nie podzielamy zapatrywań p. Zbyszewskiego i że zgodnie z nakazami sumienia i obowiązku, dążymy w miarę możliwości do zachowania naszego bogatego i pięknego języka w czystości i postępie. Wychodzimy bowiem z założenia, że język polski, jako żywy, nie tylko może wytworzyć odpowiedniki dla wyrazów obcych, powstających w naszej obecności i niejako przy naszym współudziale, ale także zdolny jest zachować je i przekazać przyszłym pokoleniom, potwierdzając w ten sposób czynny współudział narodu polskiego w ogólnej budowie kulturalnej i cywilizacyjnej świata. Jeżeli nie mamy dziś rodzimych odpowiedników na setki różnych wyrazów, jest to tylko dowodem, że albo nasi przodkowie nie mogli byli brać fizycznego udziału w ich tworzeniu, bo nie dorastali wówczas jeszcze kulturą, techniką i umysłowością tym narodom, które te wyrazy tworzyły, albo, co gorsze, niechlujstwo i lenistwo umysłowe spowodowały zaniedbanie wzbogacenia skarbnicy polskiej mowy. Ten przykry zarzut mógłby kiedyś w przyszłości zaciążyć na naszem pokoleniu, gdybyśmy byli zgodni z zapatrywaniem p. Zbyszewskiego.

Przed toczącą się wojną byłem, przez szereg lat, z ramienia marynarki wojennej, członkiem morskiej komisji terminologicznej przy Polskiej Akademji Umiejętności. Zarówno komisja jak marynarka wojenna oraz handlowa stały zawsze na straży czystości polskiego języka morskiego.

Komisja, której przewodniczył prof. Adam Kleczkowski i w której czynny udział brali, oprócz nas, znawców technicznych, także znakomici znawcy językowi jak np. ś.p. prof. Adam Kryński, prof. Kazimierz Nitsch i in., napotykała w pracach swych, oczywiście, na wiele trudności, jednak głównie dlatego, iż nigdy przedtem nie byliśmy narodem żeglarskim i że nie zdołaliśmy przeto wytworzyć własnej myśli morskiej. To zaniedbanie naszych przodków hamuje zresztą we wszystkich kierunkach nasze poczynania morskie, nie pozwalając na przeistoczenie się naszego głęboko zakorzenionego instynktu lądowego — związanego wciąż jeszcze z pługiem i ostrogami — w twórczy instynkt morski. Pomimo trudności, prace komisji postępowały naprzód, i ma ona w swoim dorobku godne zapisania wyniki.

Prawdą jest, że nowoutworzone polskie wyrazy morskie były nieraz mniej udałe, a czasem może nawet śmieszne, lecz nikt nie może powiedzieć, że wysiłek poszedł na marne, że z tych szczepów polskich komisji nic się nie przyjęło. Dla ucha p. Zbyszewskiego wyraz *hedgehog* wydaje się miły, gdybyśmy jednak nowy typ moździerza zapragnęli nazwać *jeżem*, uważałby to może za śmieszne. A przecież *caterpillar* jest z pewnością wyrażeniem gorszem od *gąsienicy*.

Uchwały komisji ukazywały się w postaci zeszytów „Słownika morskiego“, opracowywanych bądź przez członków komisji, bądź też przez zaproszonych do współpracy znawców danej dziedziny morza. Do r. 1939 wyszło razem 8 takich zeszytów, które ujmowały możliwie w całości poszczególne zagadnienia morskie. Nie trzymała się też komisja kurczowo zasady polszczenia wszystkiego co obce — starała się natomiast przyswajać językowi polskiemu właściwą formę tych wyrazów, dostosowując ich brzmienie do własnej mowy.

T. zw. „gwara marynarska“, zawierająca wyrazy germańskie przeważnie holenderskiego pochodzenia, nieudolnie i szpetnie przekształcone przez Rosjan, głównie w w. XVII, przyjęła się u nas bardzo niedawno. Znalazła ona grunt bardzo podatny przedewszystkiem wśród naszej młodzieży, gdzie była rozkrzewiana przez nielicznych tej gwary wielbicieli, którzy widocznie nie posiadali instynktu zachowawczego mowy ojczystej i przez to nie odczuwali należycie jej ducha. Młodzież chętnie i szybko uczyła się „marynarskiej gwary“, co nie jest wcale rzeczą dziwną, gdy się zważy podatność dziecięcego umysłu do wchłaniania wszelkiej egzotyki i atrakcyjności, które to czynniki znaleźć można niewątpliwie w tajemniczych terminach żeglarskich, gdyż są one jak gdyby owiane legendami przygód konkwistadorskich i korsarskich.

Kiedyś naprzykład pokutowało w naszem słownictwie morskiem takie słowo, jak *peleng*. Zdaje się, że ma ono na pierwszy rzut oka wszelkie cechy tej tajemniczości, o której wspomniałem — niewiele mówi ono Polakowi, trudno wogóle się domyśleć jakie ma znaczenie i co wyraża. Zdawało się także, że nie będzie mogło być zastąpione żadnym polskim odpowiednikiem. Nadobitek złego, mało kto wiedział jak je prawidłowo pisać: *peleng* czy może *peling* — w obu wersjach było używane. Brzmienie ma niewyraźne — germańsko-rosyjskie. Pochodzenia holenderskiego lub niemieckiego, przyszło do nas z Rosji. Dziś nie mamy z tem słowem już żadnego kłopotu, bo zastąpiło je zupełnie dobre wyrażenie *namiar*. Wszyscy dobrze wiemy, co znaczy słowo *miara*, umiemy też *mierzyć*, zatem domyślimy się także prawdopodobnie, co znaczy *namierzać* czyli *brać namiary*.

Wspomnę tu także o nazwach żagli — nie mogę np. zrozumieć, dlaczego mielibyśmy nazywać *topslem* to co możemy nazwać lepszym polskiem słowem *szczytnik*, lub *fokslem* to co może być zwane *przednikiem*, albo dlaczego nie moglibyśmy używać słowa *tylnik* zamiast *bezan*.

Pan Zbyszewski pisze, że ktoś kazał *maszt* zwać *dyszlem*, a *reję* — *orczykiem*: przyznam się, że tego nigdy nie słyszałem. Wiem natomiast np., że *gafel* nazwał ktoś bardzo dobrem słowem *rożec*. Tak samo *drzewce* doskonale zastępuje *flagsztok*.

Sugestja co do przechrzczenia *komandora*, *admirała* i *portu* na *karbowego*, *ekonoma* i *gumno* byłaby może niezła, gdybyśmy pracowali przy koniach w stodołach i na roli.

Co do *statku*, p. Zbyszewski ma poniekąd rację, że jest on związany z wodą — mam na myśli zarówno statki, które pływają, jak te, o których czystość dba każda gospodyni, niemniej słowo *statek* może mieć także związek z powietrzem w sensie statyki czy stateczności.

Łódź podwodną już dawno nazywamy *okrętem podwodnym*; tylko taka nazwa jest słuszna, bo odpowiada istocie rzeczy. Anglicy nazywają rzecz tę *submarine*, a nie *u-boat* lub *U-boot*. Jeżeli natomiast używają tych słów w prasie, mają na myśli niemiecki okręt podwodny, podobnie jak mają na myśli lotnictwo niemieckie, gdy piszą *Luftwaffe*. Jugosławianie nazywają okręt podwodny *podwodnica* i nie widzą w tem nic śmiesznego.

Własne słownictwo morskie jest nam nieodzowne. I choć — ze względu na nasze wiekowe odsunięcie od morza — nie wyklucza używania niektórych słów obcego pochodzenia, jednak nie widzę potrzeby wprowadzania doń nowych „makaronizmów“. Można słownictwo udoskonalać — wyrywać zeń chwasty — natomiast nie należy go zanieczyszczać okolicznościowemi terminami, wynikłemi ze współpracy z tym czy innym sprzymierzeńcem.

Autor artykułu nie miał może złych zamiarów. Ale jego wywody nie przemówią do przekonania ludziom morza. Bo co było dobre w dobie zaniedbania czy nieznajomości spraw morskich, dziś wymaga już rzeczowego i jasnego stosunku do tych spraw. Naszym obowiązkiem jest stać na straży czystości języka.

ARTUR REYMAN.

SŁOWNICTWO LOTNICZE

W artykule p.t. „Nie obawiajmy się słów angielskich“, umieszczonym w nr. 179 „Wiadomości Polskich“, p. Karol Zbyszewski zarzuca „Skrzydłom“, że nie rozumieją konieczności przyswajania pewnych słów z obcego języka, upierają się przy dogmatycznie pojętej czystości języka polskiego i że w wyniku tego chcą uczyć Anglików, iż np. *dispersal*, to *wygon*.

Nie wdając się w ocenę słuszności i rzeczowości argumentów, użytych przez autora wymienionego artykułu, pragnę stwierdzić, że „Skrzydła“ zdają sobie dokładnie sprawę z konieczności przyswajania różnych wyrazów z innych języków. O tem stanowisku świadczyć mogą m.in. artykuły „O start federacji“ i „Wspólny język lotników zaprawą federacji“, umieszczone w końcu r. 1942 w „Skrzydłach“ i w „Myśli Lotniczej“. Artykuły te wydano następnie jako broszury.

Jednak „Skrzydła“ zdają sobie również sprawę, że ustalenie obowiązującego słownictwa jest rzeczą bardzo trudną, wymagającą zebrania i rozpatrzenia możliwie największej ilości projektów. Projekty te należy zbierać nie tylko wśród językoznawców i pisarzy, ale również wśród fachowców lotniczych, a w szczególności wśród lotników latających.

Wyrazem tego stanowiska jest ogłaszanie w „Skrzydłach“ nadsyłanych do redakcji głosów i wniosków. Nie wyrażają one więc ani stanowiska władz lotniczych, ani nie przedstawiają poglądów „Skrzydeł“; są jedynie pomysłami poszczególnych osób, stanowiąc materjał do późniejszych prac słowniczych. Ale właśnie te głosy i wnioski posłużyły p. Zbyszewskiemu za podstawę do jego artykułu i wspomnianego zarzutu.

REDAKCJA „SKRZYDEŁ“.

W związku z artykułem p. Karola Zbyszewskiego p.t. „Nie obawiajmy się słów angielskich“ w nr. 179 „Wiadomości Polskich“, załączam dwie moje broszurki w tym samym mniejwięcej przedmiocie (właściwie na temat pewnego umiędzynarodowienia polskiego słownictwa specjalnego, zwłaszcza w lotnictwie).

Słyszałem zarzuty, że podejście p. Zbyszewskiego jest „niepatrjotyczne“. Moje podejście w broszurkach jest — jak sądzę — właśnie patrjotyczne, aczkolwiek życiowo patrjotyczne, a nie bohatersko, samobójczo patrjotyczne.

Jeżeli kto z czytelników „Wiadomości“ chciałby się z mojem podejściem bliżej zapoznać, wystarczy napisać do mnie kartkę, a przyślę broszurki (bezpłatnie). Mój adres: P. P. Jablovski, c/o British Monomark Ltd., London, W.C.1.

P. P. JABLOVSKI.

BOGDAN WIELKOPOLSKI
NOWE PODSTAWY ROZWOJU POLSKI I LUDZKOŚCI
(283 strony) Cena 8/6 Do nabycia: 4, Chalmers Crescent, Edinburgh Żądać w polskich księgarniach i kioskach

LATAJĄCY KRZYŻOWCY

Którędy prowadzi droga do zwycięstwa? — Pytanie to zadają sobie mężowie stanu, sztaby i społeczeństwa. Istnieją szkoły „zwycięstwa przez bombardowania“, „zwycięstwa przez operacje połączone“, „zwycięstwa przez rewolucję“.

Mjr. Alexander Seversky, amerykański konstruktor i lotnik pochodzenia rosyjskiego, wierzy, że jedyna droga do zwycięstwa prowadzi poprzez potęgę lotniczą, a w szczególności poprzez superbombowce, które wylatując z baz amerykańskich bombardować będą Niemcy i Japonję. Jego książka*), która cieszy się rekordową poczytnością w Ameryce, zapoczątkowała kampanję propagandową. Zdołał on pozyskać dla niej Walt Disneya, który przeniósł ją na ekran. Ze współpracy Seversky'ego i Disneya powstał jeden z najbardziej niezwykłych i najbardziej dyskutowanych filmów.

Zasadnicza teza Seversky'ego jest niewątpliwie słuszna. Przed wojną, w pierwszych jej latach, a poczęści i teraz, rola lotnictwa nie jest w pełni doceniana. Seversky opowiada nie bez goryczy, jak przed wojną wyśmiewano jego argumenty, jak nie wierzono w możliwości konstrukcyjne, które następnie urzeczywistnił. Zwykły to los proroków których wizje wyprzedzają postęp świata. I tak los był dla niego łaskawszy, niż dla innego szermierza lotnictwa, którego pamięci Seversky dedykuje swą książkę: dla gen. Williama (Billy) Mitchella. Ten „latający rycerz krzyżowy“, jak go nazywa jego biograf, dowodził w czasie poprzedniej wojny całością lotnictwa amerykańskiego w Europie. Później zademonstrował na starych okrętach niemieckich, że bombami można zatopić pancernik. Choć dokonał tego w obecności wielu widzów z marynarki, nie chciano mu wierzyć. A gdy zbyt gwałtownie wystąpił przeciw panującym poglądom, trafił pod sąd wojenny, który go pozbawił stopnia i usunął z armji. Dopiero po śmierci zrehabilitował go Pearl Harbour.

Cóż, były to czasy gdy pewien admirał amerykański mówił: „Flota nie potrzebuje samolotów. Robią one tylko dużo hałasu“.

Oczywiście, dziś admirałowie już tego nie twierdzą. Niemniej trzeba było zatopienia „Prince of Wales“ i „Repulse“, nim pogodzono się z tem, że flota nie może operować w zasięgu lotnictwa nieprzyjacielskiego bez ochrony lotnictwa własnego.

W sposób bardzo przekonywający omawia Seversky kampanje pierwszych lat wojny, wykazując decydującą rolę lotnictwa. Oczywiście, czasem wpada w pewną przesadę, jak w swych „11 zasadach potęgi lotniczej“. Oto one.

1) Żadne operacje lądowe czy morskie nie są możliwe bez uprzedniego uzyskania kontroli powietrza. — W znacznej mierze odpowiada to prawdzie, ale niemniej byliśmy i jesteśmy świadkami doniosłych działań na froncie wschodnim, pomimo braku wyraźnego panowania jednej ze stron w powietrzu.

2) Floty straciły swą funkcję ofensywy strategicznej. — W znacznej mierze tak, ale nie tak bezapelacyjnie, jak twierdzi Seversky.

3) Blokada nieprzyjaciela stała się funkcją lotnictwa. — Seversky usiłuje dowieść, że rola łodzi podwodnych stawała się w blokadzie Wielkiej Brytanji coraz mniejsza, a rola lotnictwa rosła. Ale rozwój wydarzeń już po napisaniu jego książki nie potwierdził tej tezy.

4) Tylko potęga lotnicza może pokonać potęgę lotniczą. — Słusznie.

5) Lotnictwo, oparte na lądzie, zawsze ma przewagę nad lotnictwem opartem na lotniskowcach. — Fakt niezaprzeczalny, ale Seversky niewątpliwie przesadza, gdy przedstawia lotniskowce jako anachronizm, nadający się tylko do muzeum.

6) Skuteczny zasięg lotnictwa musi być równy maksymalnym rozmiarom teatru działań. — Jest to najbardziej problematyczna teza Seversky'ego. Chciałby on skoncentrować się na budowie bombowców i myśliwców zdolnych z Ameryki dotrzeć do najdalszych zakątków świata. Ideałem jego jest samolot, który mógłby bez lądowania oblecieć całą kulę ziemską, a tymczasem gotów jest zadowolić się bombowcem o zasięgu 6000 mil. Używanie Wielkiej Brytanji jako wysuniętej bazy lotnictwa sojuszniczego uważa za zło konieczne, bardzo przytem wyolbrzymiając trudności jej zaopatrywania. Seversky wierzy, że jeszcze w tej wojnie samoloty, zabierające ładunek 20 tonn, eskortowane przez długodystansowe myśliwce, startujące z Wielkiej Brytanji, będą bombardowały Niemcy z baz amerykańskich. I tylko takie bombowce należy budować. Gdy spotyka się z zarzutem, że masowa budowa tego rodzaju samolotów potrwałaby lata, odpowiada, że w budowie są pancerniki, które będą gotowe dopiero w r. 1947. Ale ten argument nie jest przekonywający. Sojusznicy nie mogą dopuścić do zmniejszenia wytwórczości obecnego typu bombowców w imię budowania superbombowców, które wejdą do akcji w r. 1947! Nie można oprzeć się wrażeniu, że Seversky jest bardzo jednostronny. Tłumaczyć to należy zapewne faktem, że sam wyspecjalizował się w budowie samolotów o dużym zasięgu.

7) Czynnik jakości jest w lotnictwie stosunkowo bardziej decydujący niż czynnik ilości. — Bitwa o Wielką Brytanję niewątpliwie dowiodła słuszności tego twierdzenia. Nie wystarcza mieć samoloty. Muszą to być dobre samoloty.

8) Typy samolotów muszą być wyspecjalizowane, tak aby odpowiadały nie tylko ogólnej strategji, ale również taktycznym zagadnieniom poszczególnych kampanij. — I tę tezę trudno jest kwestjonować.

9) Zniszczenie „moral“ nieprzyjacielskiego może być osiągnięte tylko przez precyzyjne bombardowanie. — Znowu Seversky, zapatrzony w swe dzienne superbombowce przyszłości, nie docenił możliwości bombowców dzisiejszych. Jak dotąd, „nieprecyzyjne“ naloty dzienne R.A.F. osiągnęły znacznie większe rezultaty aniżeli „precyzyjne“ naloty dzienne bombowców amerykańskich. Seversky nie przewidział że w parę miesięcy po napisaniu jego książki, trzy czwarte Hamburga będą zniszczone w ciągu niewielu nocy.

10) Zasada jedności dowodzenia, oddawna uznana na lądzie i morzu, stosuje się również do lotnictwa. — Te wywody Seversky'ego przeznaczone są dla opinji amerykańskiej. W przeciwieństwie do R.A.F.u, lotnictwo amerykańskie nie jest samodzielne, lecz podzielone pomiędzy siły lądowe i marynarkę wojenną. Walka o jego usamodzielnienie toczy się oddawna, ale bez rezultatu.

11) Lotnictwo musi mieć swój własny transport. — Teza jest słuszna i obecnie wydaje się być powoli urzeczywistniana.

Książka Seversky'ego zawiera dużo interesującego materjału. Szczególnie ciekawe są jego uwagi o błędach poszczególnych mocarstw. Właściwie żadne państwo nie przygotowało się w pełni do wojny lotniczej, a Niemcy, choć najlepiej rozumieli możliwości lotnictwa, bynajmniej nie zdołali ich wyzyskać. Docenili możliwości lotnictwa, jeśli chodzi o współdziałanie z siłami lądowemi, natomiast zupełnie zlekceważyli je jako czynnik samodzielny. A znów w Wielkiej Brytanji wiara we flotę stała z początku na przeszkodzie pełnemu wyzyskaniu lotnictwa. Seversky wyraża przypuszczenie, że Niemcy celowo nie topili pancerników brytyjskich z powietrza, by podtrzymać wiarę we flotę i kanalizować energję brytyjską w kierunku jej rozbudowy.

Wadą Seversky'ego jest, że pisze raczej o wojnie przyszłej, niż o obecnej, zapominając że tymczasem zostanie zapewne znaleziona odpowiedź na nowe typy bombowców. Ani to jednak, ani też wszystkie przejaskrawienia czy zgoła fałszywe twierdzenia nie zmniejszają wartości jego książki, która zmusza do rewizji poglądów, nieubłaganie obala wczorajsze dogmaty i ukazuje rewolucję jaką wywołały postępy lotnictwa. Dopomaga ona do myślenia kategorjami epoki jutrzejszej, która będzie — w wojnie czy w pokoju — epoką lotnictwa.

ALEKSANDER BORAY.

*) Victory through Air Power. By Major *Alexander Seversky*. Londyn, Hutchinson, (1942); str. 160 i tabl. 8.

Może się wydawać dziwne, że Disney w swojej wytwórni filmów rysunkowych podjął temat poważny, którego zadaniem jest wyłożenie teorji lotnictwa wojennego. Film rysunkowy wydaje się tradycyjnie związany z tematami rozrywkowemi lub propagandowemi w ciasnem tego słowa znaczeniu. Disney pokazał już jego znaczenie w dziedzinie czystej fantazji, bajki filmowej, stworzył ornamentacyjną interpretację muzyki, stworzył symbolikę linji, barwy i dźwięki na ekranie. I oto nagle — strategja wojny, rola lotnictwa, jego historja i przyszłość. Lecz obejrzawszy ten film, widz dochodzi do przekonania, że związek między tematem lotniczym a rysowaną formą filmową nie jest przypadkowy.

Chodzi o to, że film realistyczny ze swojem małem polem widzenia poprostu nie może dorównać lotnictwu, nie może dać jej aspektów. Lot — ruch w przestrzeni — wydaje się, logicznie biorąc, idealnym tematem filmu. A jednak jest wręcz odwrotnie. Loty nie są fotogeniczne. Dlatego, że i ruch i przestrzeń lotów są za wielkie. Aparat nie może objąć linji przelotu, nie może objąć tła przestrzennego. Lot na ekranie rozpada się na fragmenty, które mogą być malarsko interesujące, ale którym brak zasadniczego elementu rzeczywistych lotów, szybkości, wysokości, zasięgu przestrzennego. Zagadnienia lotnictwa są globalne. Film jest sztuką fragmentów.

W filmie rysunkowym Disney mógł sobie pozwolić na to, by z nieba obsianego gwiazdami wyłuskać jedną gwiazdę, przybliżyć ją do widza i pokazać, że to jest ziemia. Mógł pożar wojny, którym jest objęta, pokazać, wiodąc czerwone linje wokół kontynentów. Mógł pomieścić na ekranie setki i tysiące statków, wiozących materjał wojenny na pola bitew. Mógł w globalnym rozmiarze uwydatnić znaczenie baz lotniczych, przerzucić łuki od bazy do bazy, od bazy do celu ataku. Mógł naocznie wyjaśnić co znaczy ochronny parasol lotniczy nad morzami i nad lądami. Mógł ująć całe Niemcy w jeden obraz drgający w rytmie bicia serca: sercem jest niemiecki przemysł wojenny. Mógł w dramatycznym skrócie uzmysłowić strategiczną ideę lotnictwa wojennego: podczas gdy armje morskie i lądowe uderzają w ochronne wały wokół twierdzy wroga, lotnictwo może przeskoczyć umocnione peryferje i siać zniszczenie w samem centrum, w samem sercu.

To jest właściwa idea filmu. Przeszedłszy w skrócie historję lotnictwa, — pokazana jest ona raczej od strony zabawnej, jak niemodne suknie, a nie od strony heroicznej, — podkreśliwszy zależność strategji lotniczej od koncepcji walki lądowej jeszcze na początku tej wojny, film tłumaczy, jak wraz z udoskonaleniem się maszyn lotniczych, ich szybkości, zasięgu i obronności, wyłania się nowa i właściwa idea strategji lotniczej. Jest nią ujęcie lotnictwa nie jako broni pomocniczej przy działaniach morskich i lądowych, lecz jako samoistnego czynnika, działającego ponad polami bitew, rozbijającego organizm wroga od środka. Od serca.

Duży nacisk położono przytem na wojnę na Dalekim Wschodzie. Nie pominięto roli Rosji, która pozostaje neutralna w wojnie z Japonją i nie pozwala na użycie baz syberyjskich dla bombardowania Japonji. Japonja jest dzięki temu nieosiągalna dla bombowców amerykańskich. Zdobywanie poszczególnych baz na Pacyfiku jest syzyfową pracą, wróżyłoby wojnę na lata. Nic dziwnego, że Amerykanie z pasją patrzą na bliski brzeg syberyjski, choć o tej pasji film dyskretnie nie mówi. Licząc się ze stanowiskiem Rosji, jako z jednym z czynników realnych, Amerykanie szukają innego wyjścia. To inne wyjście stanowi ideę Seversky'ego — speakera tego filmu. Plan jego polega na zbudowaniu bombowca, który mógłby przelecieć przestrzeń z Alaski do Japonji z wielotonnowym ładunkiem bomb — znowu łuk do serca wroga — i skruszyć jej opór od wewnątrz. Ta przyszłościowa maszyna niszczenia pokazana jest na filmie, najeżona ruchomemi lufami armat, strzelającemi na wszystkie strony, tak że bombowiec walcząc nie musi zmieniać kierunku swego lotu. Prawdopodobnie dla propagowania idei tego bombowca zrobiono ten film. Skądinąd jednak wiadomo, że budowa floty powietrznej, złożonej z takich bombowców, zajęłaby dwa do trzech lat, czyli nie skróciłaby wojny, natomiast osłabiłaby obecną wytwórczość innych gatunków broni.

Ideologję zniszczenia przedstawiono na tym filmie niezmiernie pociągająco, kolorowo, wesoło. Śliczne są symboliczne smoki, które łapami zagarniają morza i kontynenty. Śliczne są skróty walk powietrznych, ślicznie rozpadają się domy i miasta pod działaniem nowych bomb, zaopatrzonych w zabawne urządzenia rakietowe i powodujących jakby trzęsienie ziemi. Cel osiąga się łatwo i gładko: przed chwilą było na ekranie miasto, i oto wesoła czerwona strzałka oznacza miejsce happy endu: miasta już niema.

STEFANJA ZAHORSKA.

GOSPODA POLSKA
właściciel St. Jóźwiak
449, Oxford Street, W.1
(naprzeciw Selfridge'a)
WYBORNA POLSKA KUCHNIA

Restauracja CHEZ AUGUSTE
Kuchnia francuska
Kierownictwo francuskie
38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655
otwarta w niedziele

M. I. KOLIN (Publishers) LTD., 229/231, High Holborn, N.W.1

w najbliższym czasie ukaże się :

ŻOŁNIERZ POLSKI W NORWEGJI

reportaż fotograficzny z bojów pod Narvikiem w układzie graficznym Lewitta-Hima (277 fotografij) wydania polskie i angielskie

Józef Piłsudski

PISMA WYBRANE

488 stron

w druku :

Władysław Broniewski

BAGNET NA BROŃ

poezje, 1939–1943

Marjan Hemar

MARCHEWKA

pamiętnik satyryczny

Stefan Łaszkiewicz

SZUM MŁODOŚCI

wspomnienia o komendancie „Orlą"

Planowanie gospodarcze

Prof. Ferdynand Zweig ma ustalone nazwisko w nauce. Ale także —w publicystyce. Temu zawdzięczamy może, iż studjum swe*) poświęcił zagadnieniu tak bardzo „en vogue". W pewnym też może stopniu — iż książka jego jest lekturą ciekawą nie tylko dla ekonomisty, ale i dla laika.

Literatura tematu pęcznieje. Ale wiele zostało jeszcze do przemyślenia i do powiedzenia. W niejednym też punkcie książka Zweiga posunęła badania i dyskusję naprzód.

Wkładem do dyskusji jest próba definicji. Planowaniem jest, wedle Zweiga, każdy system centralnego kierowania gospodarstwem społecznem jako całością, bez względu na cele i środki ich urzeczywistnienia. Takie pojemne określenie obejmie system gospodarki narodowo-socjalistycznej i faszystowskiej, sowieckiej i „New Deal", japońską „Co-Prosperity Sphere" i angielską gospodarkę wojenną, a w skali regjonalnej — równie dobrze Administrację Doliny Tennessee jak i nasz C.O.P.

Część, poświęcona — powiedziałbym — filozofji planowania, przynosi szereg ciekawych myśli o jego siłach motorycznych.

Szczególnie oryginalna i godna uwagi jest teza wiążąca tendencje planistyczne z współczesnemi przemianami psychologji mas. „Homo oeconomicus", kierujący się w dużym stopniu pragnieniem poprawy stopy życiowej, typowy dla w XIX, zwłaszcza dla społeczeństw anglosaskich — wypierany jest, jak sądzi Zweig, przez „człowieka politycznego", „Homo politicus", który gotów jest poświęcić wiele dla jakiejś „rewolucji społecznej", „wiecznego pokoju", „panowania nad światem" i t.d. Odmiennemu typowi psychologicznemu odpowiada odmienny typ gospodarowania. Wysuńmy tu jednak jako zagadnienie dyskusyjne : czy stwierdzona przez Zweiga przemiana psychologji mas jest trwała i ostateczna, czy raczej należy liczyć się z nawrotami i reakcjami ?

Ku planowaniu pcha też „nowa technika społeczna". Technika kształtowania ideologji i wpływania na postępowanie nowoczesnych „społeczeństw masowych"; technika, zauważmy, tak groźna w ręku wszelkiego rodzaju zboczeńców moralnych.

Niepodobna dalej zaprzeczyć trafności spostrzeżenia o wzajemnej zależności tendencyj planistycznych z rozrostem finansów publicznych. Również z rozproszkowaniem gospodarstwa światowego w jego znaczeniu sprzed sierpnia 1914 r. Istotny jest, dalej, wpływ monopolizacji gospodarstw nowoczesnych, przedewszystkiem jednak — postępu technologicznego.

Coprawda, musiałby Zweig usprawiedliwić, dlaczego gospodarstwa cofnięte w rozwoju, w których większość z owych sił motorycznych działa słabiej, są zarazem — wedle jego też — najpodatniejsze dla planowania. (A propos. Z dużym pożytkiem dla sprawy polskiej Zweig cytuje obficie polski materjał faktyczny ; możnaby jednak kwestjonować pozytywną bez zastrzeżeń ocenę tak bardzo „autarkicznego" planowania C.O.P.-owego).

Tytuł książki zapowiada rozważania o planowaniu społeczeństw wolnych. Akcent trzebaby, jak sądzimy, położyć na tem właśnie słowie. Człowiek współczesny chce wolności, chce także planowania — mało nagół świadom prawdziwie dramatycznego konfliktu, zachodzącego między obu pragnieniami.

Zweig daje przyczynek do rozwiązania dylematu. Z dużem powodzeniem. Punktem wyjścia jest dlań analiza wolności, której imienia tak często dzisiaj używają ludzie (także dyktatorzy!) nadaremno. Stara się godzić sprzeczności, zakreślając granice niejako „wolności rozsądnej". Planowanie bowiem oznacza, w jego przeświadczeniu, przeoranie wielkiego pola w taki sposób, że znikną jedne, a zrodzą się inne postaci wolności.

W swej wędrówce myślowej Zweig ostatecznie ląduje, jak tylu innych ekonomistów, w porcie wielkich praw moralnych. Skłonny jest przypisywać znaczenie rozstrzygające duchowi, jakim owiane jest konkretne planowanie. W treści duchowej — bardziej niż w czem innem — widzi różnicę między planowaniem sowieckiem, hitlerowskiem, albo rooseveltowskiem, czy wojennem anglosaskiem. Ustępliwość w dziedzinie postulatów moralnych grozi łatwo światu zagładą jego kultury. Potężna bowiem machina centralnego kierowania życiem społeczeństw wymaga równie potężnych hamulców moralnych.

Tylko tradycja tolerancji i wolności może obezwładnić zło płynące z planowania.

Zło płynące z planowania. Dobrze, że i temu zagadnieniu Zweig poświęcił dużo uwagi. Ludzie skłonni są widzieć dzisiaj w gospodarce planowej panaceum na wszystkie bolączki świata. Chcą ją stosować wszędzie i w dużych dozach. Warto ich przestrzec o tych konfliktach zarówno koncepcyj jak sił społecznych, których zalążki widzi badacz w nowej ideologji gospodarczej. Zweig stara się wytyczyć granice dobroczynnych skutków planowania. Ostatecznie, jak zauważa, „punkt ciężkości leży nie w wyborze między gospodarką wolną a planową...lecz w doborze form pośrednich, z przewagą jednej na pewnych, a drugiej na innych odcinkach... Planowanie stosować należy tylko w granicach konieczności. W małych dozach może być pożyteczne, jak lekarstwo, ale w większych zabija pacjenta". Albo gdzieindziej : „Bogactwo i mądrość życia polega nie na monistycznych ale na pluralistycznych rozwiązaniach, największem niebezpieczeństwem, jakie grozi planowemu gospodarstwu, jest skłonność do rozwiązań monistycznych".

Słowem, wahając się między gospodarstwem wolnem a planowem, zastosujemy... operacje amfibjalne.

ALFRED ZAUBERMAN.

*) The Planning of Free Societies by *Ferdynand Zweig*, Professor of Political Economy in the University of Cracow. Londyn, Secker and Warburg, 1943 ; str. 267 i 1nl.

Nowość! *Nowość!*

LWOWIANKA

nakładem Polskiego Koła Demokratycznego w Londynie

Treść :

Ś.p. Generał Sikorski — TYTUS FILIPOWICZ : O Radę Narodową
ALEKSANDER JUNOSZA-GAŁECKI: Wobec nominacji — WACŁAW ŚLĘDZIŃSKI: Karuzela emigracyjna
Statut Polskiego Koła Demokratycznego — ALEKSANDER JUNOSZA-GAŁECKI : Drugie wydanie
Skróty — Korespondencja

Cena 2/-

Do nabycia we wszystkich księgarniach i kioskach

Korespondencję
ALEKSANDER JUNOSZA - GAŁECKI, 14, Glenmore Road, London, N.W. 3

Sztuka Hemara w B.B.C.

Dn. 10 października Radjo Brytyjskie nadało Marjana Hemara „Poor Man's Miracle". Sztuka ta, drukowana po polsku w nr. nr. 2–6 „Nowej Polski", pojawiła się niedawno po angielsku w przekładzie F. B. Czarnomskiego (nakładem „Minervy") i szybko znalazła drogę do B.B.C., co stanowi nielada sukces. Miejmy nadzieję, że utoruje to dramatowi Hemara drogę do jednej ze scen brytyjskich. Wątpić jednak należy, czy nawet na scenie londyńskiej „Poor Man's Miracle" otrzyma tak doskonałą obsadę, jaką dało jej Radjo Brytyjskie w swojej audycji.

Jak wiadomo, wystawianie całych sztuk teatralnych przez radjo jest zagadnieniem spornem. W Anglji, gdzie na scenach panoszy się przeważnie konjunkturalna lekka komedja albo zgoła płaska farsa, radjo spełnia rolę bardzo pożyteczną przez uprzystępnianie publiczności poważnego repertuaru. Publiczność angielska lubi słuchać sztuk teatralnych w radjo ; dowodzi to wielkiego kultu słowa w tym kraju.

Szlachetny utwór Hemara okazał się doskonałym materjałem radjowym : mikrofon nie uronił nic z jego walorów. Zakończenie w radjo różniło się od zakończenia w książce, i trzeba przyznać, że pomysł tej zmiany był szczęśliwy.

Niewiele w ciągu tej wojny mamy do zanotowania sukcesów naszej sztuki w Anglji. Zapomina się zbyt często, że najbardziej trwałą i najcelniejszą propagandą jest pokazywanie dzieł polskiego talentu — niezależnie od takiej czy innej konjunktury politycznej. Artysta powinien tworzyć jak mu nakazuje talent, i to jest jego najlepsza służba swojej i ogólnej sprawie. Wymaganie od artystów, ażeby zaprzęgali się do wyraźnej roboty propagandowej, stanowi dowód, że wszystkie propagandy ulegają podszeptom, znanym propagandom totalnym ; niedocenianie sztuki i kultury, oderwanej od doraźności propagandowej, jest cechą naszej smutnej epoki, którą znamionuje coraz większe barbarzyństwo.

Jest wielką szkodą, że w Anglji nie mamy dzisiaj — jak to było w wojnie ubiegłej — uczonych, którzyby mówili o polskiej kulturze, sztuce czy literaturze. Niejednokrotnie pytają mnie Anglicy, czy nie mamy obecnie żadnych uczonych, którzyby tak jak Wincenty Lutosławski w tamtej wojnie, ukazywali nasz wkład do kultury świata ? Bakcyl polityczny, zatruwający wszystko i wszystkich, powoduje bezpłodność naukową i artystyczną.

Tych kilka uwag pozwoliłem sobie skreślić na marginesie sztuki Hemara. Autorowi życzyć należy „many happy returns" i wejścia na scenę angielską. Nie jestem widocznie propagandystą nowoczesnego stempla — uważam bowiem, że propaganda polega poprostu na popieraniu rzetelnych wartości a odrzucaniu tandety ; uważam również że artysta najlepiej przysługuje się sprawie, pracując według wewnętrznej potrzeby.

zgr.

MISCELLANEA

SPÓR O FEDERACJE

W moskiewskiem piśmie „Wojna i Klasy Pracujące" ukazał się artykuł na temat federacji środkowoeuropejskiej ; przedrukowały go następnie londyńskie „Sowiet War News". Autor artykułu omawia broszurę George Harrisona i Peter Jordana p.t. „Central Union", nazywa tego rodzaju projekty federacyjne pomysłami polskich reakcjonistów oraz imperjalistów i przypisuje im tendencję antyrosyjską.

W odpowiedzi na ten atak, „Tablet" z dn. 9 października podkreśla, że żaden z projektów federacyjnych nie kryje planów agresywnych lub ekspansjonistycznych. Mają one na celu jedynie i wyłącznie zwiększenie bezpieczeństwa narodów Europy środkowej i spotykały się wielokrotnie z poparciem brytyjskich mężów stanu. „Tablet" przypomina, że Churchill w przemówieniu radjowem z dn. 21 marca wyrażał się z uznaniem o idei konfederacyj regjonalnych.

Pomysły te — jak podkreśla tygodnik — spotykają się z poparciem ludzi reprezentujących wszystkie odłamy opinji. W Londynie ogłoszono np. sprawozdanie na temat projektów unji Europy środkowej i południowowschodniej podpisane przez takich ludzi, jak były socjalistyczny premjer Węgier Karolyi i przedstawiciele serbskich, rumuńskich i polskich ludowców, jak Gavrilović, Cornea i Kuncewicz. Przedmowę do tej publikacji napisał labourzystowski poseł do parlamentu John Parker.

Na zakończenie „Tablet" dodaje, że projekty federacyjne są z samej natury nieagresywne, gdyż ambicje ekspansjonistyczne w jakimkolwiek kierunku nigdy nie spotkają się z dostatecznem poparciem całej konfederacji.

ŻĄDANIA ROSYJSKIE

„Cavalcade" z dn. 9 października, omawiając nadchodzące rozmowy w Moskwie, zwraca uwagę iż Rosjanie przywiązują dużą wagę do AMGOTu, czego dowodem jest mianowanie Wyszynskiego przedstawicielem



(„*Lilliput*")

— Nie ty, idjoto !

Sowietów w Algierze. Pismo nazywa Wyszynskiego „jednym z najbliższych i najzręczniejszych współpracowników Stalina, który pomaga mu w ustaleniu sowieckiej strategji politycznej".

W dalszym ciągu „Cavalcade" twierdzi, że co najmniej znamienne są „żądania terytorjalne, które Mołotow wysunie na konferencji moskiewskiej". Są one podobno „zdumiewające" i jak donoszą, niektórym państwom neutralnym oko zbieleje ze zdziwienia.

Zdaniem „Cavalcade", Azja jest dla Rosji równie ważna jak Europa, Sowiety uważają trwały pokój za niemożliwy póki Indje i Chiny pozostają pod wpływami zagranicznych imperjalizmów. Moskwa ma co najmniej równie zdecydowane poglądy na przyszłość Chin i Indyj jak żywioły konserwatywne w Anglji i Ameryce.

AKCJA GENERAŁÓW NIEMIECKICH

Redakcja „Tribune" zamieściła w numerze z dn. 8 października zasadniczy artykuł na temat stosunku Rosji do Niemiec. Omawiając oświadczenie generałów niemieckich, „Tribune" podkreśla, że istnieją dwie możliwosci. Albo oświadczenie to jest poprostu fragmentem sowieckiej kampanji politycznej, obliczonej na rozbicie oporu niemieckiego, albo też ma ona naprawdę reprezentować opozycję niemiecką. W tym wypadku byłby to fałszywy krok : „Tribune" zwraca uwagę że oficerowie armji niemieckiej nie są przedstawicielami opozycji czy też przyszłych Niemiec.

Tygodnik notuje również dwa sprzeczne głosy sowieckie. Aleksiej Tołstoj wygłosił przez radjo przemówienie obarczające cały naród niemiecki odpowiedzialnością za wojnę i domagające się zemsty, równocześnie zaś pismo „Wojna i Klasy Pracujące" oskarża traktat wersalski o to, że był natchniony nienawiścią a nie pokojem.

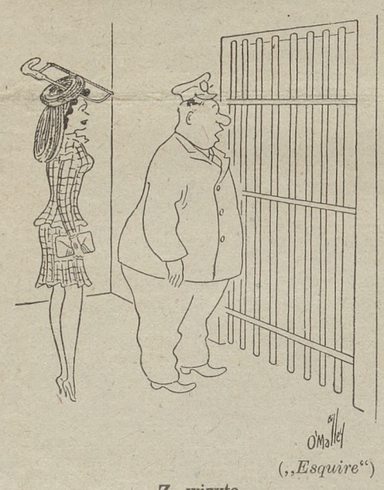


Zmarły niedawno kanclerz skarbu Kingsley Wood (por. artykuł Florjana Sokołowa w nr. 187 „Wiadomości Polskich")

Ce papillon ne peut être apposé sur la porte d'un COLLABORATEUR qu'après enquête et autorisation des Services du Contre Espionnage.

Takie nalepki ukazują się na drzwiach osób współpracujących we Francji z Niemcami

„Tribune" dochodzi wobec tego do wniosku, że „nie widać jednolitości w sowieckiem ustosunkowaniu się do Europy. Na powierzchnię wybijają się różne prądy. Niewiadomo który z nich zyska ostatecznie urzędowe poparcie".



(„*Esquire*")

Z wizytą

Pisząc na ten sam temat w „Sunday Dispatch" z dn. 10 października, Lord Vansittart twierdzi, że Rosjanie poprostu używają „wolnych Niemców" do rozsadzania oporu armji Rzeszy, lecz nie dają się brać na lep haseł wysuwanych przez swoich protegowanych. Generałowie niemieccy, ogłaszający manifesty z Moskwy, mają na widoku tylko jeden cel — ocalenie armji niemieckiej. Żadne państwo sprzymierzone — pisze Vansittart — nie może podpisać pokoju, który zostawiałby Niemcom jakąkolwiek armję, gdyż musiałoby to doprowadzić do nowej wojny światowej. Vansittart jest przekonany, że Moskwa nie popełni tego błędu, i ostrzega społeczeństwo brytyjskie, by ono także nie dało się oszukać hasłami „wolnych Niemców".

SPRAWA UKRAIŃSKA

„Contemporary Review" zamieszcza w numerze październikowym artykuł Włodzimierza de Korostovetza na temat zagadnienia ukraińskiego. Autor, sam Ukrainiec, omawia dzieje swego narodu i podkreśla że Ukraińcy „zadowalali się początkowo autonomją, ale lata ucisku, raniącego ich dumę narodową w Rosji i w Polsce, spowodowały że żądają pełnej i całkowitej niepodległości. Podobnie uciśniona religja zamienia się w kościół wojujący. Ukraińcy zaczęli walkę o niepodległość".

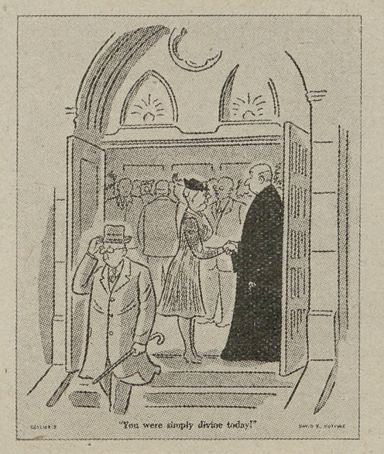
„Uroczyste ogłoszenie karty atlantyckiej — czytamy dalej — wypełniło nadzieją serca Ukraińców, i rośnie liczba tych którzy z całem oddaniem przyłączyli się do sprzymierzonych".

Autor kończy artykuł w następujący sposób :

„Duch narodowy nie zawiódł Ukraińców, a czynnik religijny zachował swe pierwszorzędne znaczenie. Wszyscy Ukraińcy natchnieni byli demokratyczną tradycją narodu. Wiek XX przyniósł im nadzieję, ale ogromne ofiary i straty spowodowane głodem, wojną i wywołanemi przez nie chorobami, pochłonęły jedną trzecią narodu. Mimo to jednak wszyscy wierzą w narodowe przysłowie : „Ufaj Bogu, ale polegaj na sobie". Blisko 50 miljonów Ukraińców, zamieszkałych w swoim własnym kraju i na całym świecie, spodziewa się, że konferencje, które nastąpią po zwycięstwie sprzymierzonych, przyniosą im pokój i wolność".

„NEWS CHRONICLE" A SPRAWA POLSKA

Polemizując z napaściami „News Chronicle" na Polskę, „Weekly Review" zaznacza :



(„*Collier's*")

— Ksiądz był dzisiaj poprostu boski !

„...trzeba zaprotestować przeciwko takim wyrażeniom, jak „quislingi" i „samozwańczy przywódcy", stosowanym do członków oficjalnego rządu naszego najdzielniejszego i najbardziej prześladowanego sprzymierzeńca".

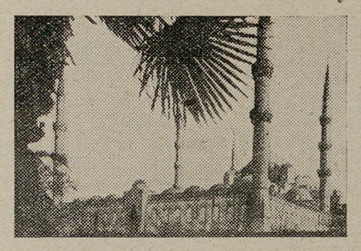
Sama „News Chronicle" zrobiła wyłom w swym konsekwentnie agresywnym froncie antypolskim, umieszczając dn. 14 października list Lady Birkett, która występuje stanowczo przeciw panującej od pewnego czasu „modzie" atakowania Polski. W sporze polsko-rosyjskim sprzymierzeni powinni być uczciwymi pośrednikami, zwłaszcza, że Polska zasługuje na poparcie jej praw wobec silniejszego przeciwnika. Nie wolno potępiać Polaków dlatego, by iść po linji polityki Moskwy. Sprzymierzeni mają wobec Polski obowiązki, które powinny być wypełnione, w żadnym zaś wypadku nie należy iść drogą, jaką obrał Chamberlain w stosunku do Czechosłowacji.

*

Kucharkę Marię Roskaritsch z Gersdorf koło Spielfeld skazano na dwa lata więzienia za wyrażenie nadziei, iż „jeśli przegramy wojnę, przyjdzie Otto i będzie trzymał ster rządów w mocnych rękach".

*

Leslie Howard ocalił mimowoli życie jednemu z brytyjskich księży katolickich. Ksiądz ten miał lecieć z Lizbony tym właśnie samolotem, który potem został zestrzelony przez Niemców. W ostatniej chwili zwrócono się do niego z prośbą by ustąpił miejsca Leslie Howardowi. Ksiądz chętnie spełnił prośbę sławnego aktora.



ISTANBUL
RESTAURANT
12, FRITH STREET, SOHO, W.1
TELEPHONE GERRARD 6115

ZAPRASZAMY ŻOŁNIERZY POLSKICH
do odwiedzenia naszego sklepu
Wyroby skórzane i płócienne.
Olstry — Pasy wojskowe — Noże — Trzcinki — Lornetki
COGSWELL & HARRISON,
rusznikarze
168, PICCADILLY, LONDON, W.1.

PARK-WAY COURT
46, Lancaster Gate, London, W. 2
tel.: PADdington 1012
(koło Marble Arch, minuta od stacji kolei podziemnej Lancaster Gate, naprzeciwko Hyde Parku)
Pokoje dla oficerów ze śniadaniem i kąpielą 10/6 dziennie, £2. 12s. 6d. tygodniowo
Napoje i przekąski przy bufecie

POD NOWYM ZARZĄDEM
RESTAURACJA FRANCUSKA
LA COQUILLE
79, ST. MARTINS LANE LONDON, W.C.
Tel.: TEMple Bar 8768
W niedziele zamknięta

ALBERT MINTY Ltd.
1–2, Sloane Street, London, S.W.1
tel. SLOane 6116
Wykwintne uczesanie — wieczna ondulacja — farbowanie włosów
Pierwszorzędni fachowcy — nowoczesne metody
Miriam Robins udziela bezpłatnych porad
Salon kosmetyczny

Z prawem wyszynku trunków
LA SPERANZA
RESTAURACJA
otwarta codziennie do godz. 10 wiecz.
179, BROMPTON ROAD, S.W.3
tel.: KEN 9437

ZBIÓRKA KSIĄŻEK DLA BIBLJOTEK W KRAJU

Tragiczne losy polskich zbiorów naukowych znane są szerokiemu ogółowi. Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że bibljoteki nasze niszczone są i germanizowane bezwzględnie przez okupantów. Troska o jak najszybsze uzupełnienie zbiorów w przyszłości powinna stać się udziałem wszystkich obywateli polskich.

Fundusz Kultury Narodowej uruchomił w styczniu 1943 r. systematyczne gromadzenie : a) książek i czasopism polskich i Polski dotyczących, b) najważniejszych wydawnictw naukowych w języku angielskim i innych językach obcych.

W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy z darów i zakupów zgromadzono ponad 5500 książek i broszur, skompletowano i oprawiono ponad sto roczników czasopism.

W pracy, zmierzającej do ogarnięcia całości polskiej produkcji wydawniczej na emigracji, od września 1939 r. poczynając, Fundusz Kultury napotyka na liczne trudności. Dotyczy to w szczególności druków (a zwłaszcza czasopism), wydanych w latach 1939–1942, i wszelkich druków wydanych poza Wielką Brytanją. Szereg roczników czasopism, np. „Dziennika Żołnierza", „Co Słychać", „Skrzydeł", „Poradnika Oświatowego Y.M.C.A." i t.p., czeka od kilku miesięcy na uzupełnienie brakującemi numerami, których mimo usilnych starań nie udaje się uzyskać. Analogiczne trudności występują przy kompletowaniu czasopism angielskich, omawiających obszerniej sprawy polskie, np. „Nineteenth Century", „Tablet" i t.p.

Wzgląd na dobro bibljotek w Kraju i troska o zbogacenie ich zasobów nakazuje Funduszowi Kultury zwrócenie się z gorącym apelem do wszystkich zbieraczy wydawnictw z prośbą o pomoc w tej sprawie przez nadsyłanie darów dla bibljotek w Kraju. Ważny jest każdy druk (czasopisma, odezwy, ulotki, afisze, ogłoszenia, prospekty wydawnictw, nekrologi, nuty, mapy i t.p.). Gromadzone są także wydawnictwa powielane, rękopisy prac naukowych, pamiętników, referatów, utworów literackich i in.

Dary należy kierować pod adresem : Polish Board of Education, The Library, Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1.

Fundusz Kultury prosi o jak najszersze rozpowszechnianie tego apelu pomiędzy Polakami na obczyźnie.

DWIE BROSZURY POLITYCZNE

Nowa broszura Stanisława Mackiewicza (Cata) p.t. „Z ziemi włoskiej" składa się z następujących artykułów : „Przedtem", „Z ziemi włoskiej", „Generał Sosnkowski", Ala w krainie czarów", „Minister Mikołajczyk musi ustąpić", „W odpowiedzi p. Strońskiemu", „Nowe książki", „Walka", „Notatki polemiczne", „List majora Adama Grabca".

Nakładem Polskiego Koła Demokratycznego w Londynie ukazała się broszura p.n. „Lwowianka". Zawiera ona wspomnienie o gen. Sikorskim, artykuły Tytusa Filipowicza („O Radę Narodową"), Aleksandra Junoszy-Gałeckiego („Wobec nominacji" i „Drugie wydanie"), Wacława Ślędzińskiego („Karuzela emigracyjna"), „Skróty", „Korespondencję".

Redaktor : ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, E.C. 2 ; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

The CORNER Restaurant
tel. BAYswater 7145
2, QUEENSWAY, LONDON. W.2
tuż przy Hyde Parku, naprzeciw kolei podziemnej Queen's Road
KUCHNIA KONTYNENTALNA i POLSKA
z prawem wyszynku trunków, Otwarta od godz. 12 do godz. 10.30 wiecz

Czy odświeżyłeś już i odmłodziłeś swoje futro
U NAJLEPSZEGO SPECJALISTY LONDYŃSKIEGO ?
M. FISHER
12, NORTHWAYS PARADE, FINCHLEY ROAD, SWISS COTTAGE, N.W.3
tel. PRImrose 4619

聚英酒樓
CHOY'S
CHIŃSKA RESTAURACJA
26–28, Dean St., SOHO, London, W.1
tel.: GERrard 6086
otwarta codziennie od 12–10 wiecz.
w soboty i w niedziele od 12–10.30 wiecz.

Sprzedajemy *Wypożyczamy*
MASZYNY DO PISANIA
biurowe i walizkowe z polskim alfabetem
Naprawiamy tanio, szybko i dobrze
AJAX TYPEWRITER CO.
12, Hampstead Road, N.W.1 Tel. : EUSton 2774
naprzeciwko kolei podziemnej Warren Street

BEZ KUPONÓW !
BEZ PODATKU OD KUPNA !
ODNAWIANIE
PRZERÓBKA
NAPRAWKI
FUTRA : dajcie zbadać wasze futra, aby w ten sposób przedłużyć ich zdatność do użytku. Tylko wykwalifikowani specjaliści. W lecie ceny szczególnie niskie.
KRAWIECZYZNA : nicowanie kostjumów damskich i przerabianie ich na nowe, piękne stroje. *Nasza specjalność* : wieczorowe ubrania męskie, dzisiaj marnujące się w szafach, przerabiamy na modne damskie stroje, kostjumy robocze, płaszcze i t.d.
Knightsbridge Remodelling Service
175, Brompton Road, London, S.W.3 *tel. KEN 1719*

Komitet Zarządzający OGNISKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządza w każdą sobotę o godz. 18.30 w budynku OGNISKA przy Belgrave Square, 45, Londyn, S.W.1, wieczorki dla wojska, lotnictwa i marynarki. Na wieczór składają się : część muzyczna, wspólna kolacja i zebranie towarzyskie.
Na wieczory te zarząd Ogniska Polskiego zaprasza wszystkich żołnierzy, lotników, marynarzy i ich przyjaciół. Wstęp bezpłatny.

ČESKOSLOVENSKÁ RESTAURACE
61 & 63 Edgware Rd., Marble Arch, London, W.2
OBIADY i KOLACJE
Najlepsza czeska kuchnia
Wyszynk wina i piwa Autobusy : 1, 6, 8, 15, 16, 60

3 popularne restauracje z prawem wyszynku
BERTORELLI
19, Charlotte Street, London, W.1
tel. MUSeum 4174
70-72, Queensway, London, W.2
tel. BAYswater 3160
23, Shepherds Bush Gn., London, W.12
tel. Shepherds Bush 2662

THE INVISIBLE
MENDING CO. PIONEERS
176, Regent Street, London, W. 1
tel. : REGent 5461
FUTRA : wszelkiego rodzaju naprawy.
Specjalność : przerabianie zniszczonych srebrnych lisów z uzupełnieniem srebrnych włosów (nowe włosy), poczem wygląd jak nowy
USŁUGA POLSKA

LEY-ON'S
CHOP SUEY
Restauracja chińska
91, Wardour Street, London, W1
tel. GERrard 5875
otwarta codziennie od godz. 12, także i w niedzie

POSZUKUJEMY NATYCHMIAST
KRAWCÓW I KRAWCOWYCH
Najwyższe płace
Zwracać się: REGENT RENOVATORS
25, Wardour Street, W.1

SKARBNICA POLSKA

BOLESŁAW PRUS

OPOWIADANIA

NOWY ROK

Onegdaj był wielki ruch w Warszawie, że nie powiem: w całej Europie. Gdyby wizyty, listy i bilety wizytowe notowano na giełdzie, mielibyśmy przykład wartości, która dn. 1 stycznia każdego roku podskakuje przynajmniej o 1000%. Później spada do zera.

W dniu tym stosunkowo najwięcej niszczy się kaloszy, zawiasów u drzwi, farby na podłogach, rączek od dzwonków i śliny. Każdy ma kogoś do odwiedzenia. Przytem nikt na cudze słowa nie zwraca uwagi i ani innym, ani sobie nie wierzy.

Krótko mówiąc, tworzy się zamęt, podczas którego rej wodzą: nogi, języki, puste karety, litografowane kartki i posłańcy. Zato w sercach jest zupełnie cicho, a w głowach ciemno.

Chaos ten nazywa się: składaniem życzeń noworocznych. Tylko dzieci, którym ofiarowano nieoczekiwane podarunki, patrzą na podobne widowisko z dobrą wiarą. Dorośli są w usposobieniu dość pesymistycznem. Przyjmujący odwiedziny tłumią ziewanie, goście pracują nad tem, aby nie wzruszać ramionami, wypłacający kolendę nie mają humoru, i ledwie obdarowani doświadczają nieco żywszych uczuć, klnąc albo wyśmiewając ofiarodawców.

Niektórzy, aby uwolnić się od szczerych i błogosławieństwo ściągających życzeń, uciekają z domów albo okładają się dobrowolnym podatkiem dla ubogich. Na widok rubryki „Zamiast składania powinszowań noworocznych", mimowoli chce się zapytać: czy 10 rs p. X. albo 25 rs p. Y. są dowodem jego współczucia dla biednych, czy też nienawiści do przyjaciół i znajomych?

Cóż to za siła przemienia w owym dniu ludzi na wędrowną szarańczę? Stary obyczaj — mówiono, i przez jakiś czas zadowalano się tem objaśnieniem.

Dziś wyraz „obyczaj" stał się tak bezbarwny i pozbawiony treści, jak sama rzecz, którą ma pretensję objaśnić. Z tego powodu uczony mój przyjaciel, dr. Ochorowicz, wynalazł inny termin, a mianowicie: „szczątkowe zjawisko w rozwoju życia społecznego".

Termin ten jest wzięty z dziedziny zoologji i anatomji. W naukach tych „organem szczątkowym" nazywa się taki organ, który niegdyś pewnemu gatunkowi zwierząt oddawał usługi rzeczywiste, lecz obecnie nie oddaje żadnych.

Organami szczątkowemi są np. dwa tylne palce, nie dostające do ziemi — pewnego gatunku zwierząt gruboskórnych, albo skrzydła u bezlotka i strusia, które latać już nie umieją. Włosy na ciele ludzkiem są organem szczątkowym z owej epoki, kiedy przodkowie nasi uważali odzież na przesąd, kontentując się własną sierścią. Włosy na głowie u człowieka dorosłego nie mają również wartości praktycznej, tylko wywołują zbyteczne koszta, gdy tymczasem w wieku pacholęcym były one tym organem użytecznym, zapomocą którego światli nauczyciele wlewali w nasze serca i umysły idee prawdy, piękna i dobra.

Z tego powodu ludzie mądrzy łysieją, ponieważ im włosy już bezwzględnie na nic się nie zdały.

Wreszcie nasz uroczysty frak, bez którego niepodobna być dobrze widzianym w towarzystwie, jest organem szczątkowym, z tej epoki, kiedy ród ludzki począł wstydzić się ogonów i zasłaniał je za pomocą trzech ćwierci łokcia tkanin.

Zrozumiawszy, co jest „organ szczątkowy" łatwo już pojmiemy, co znaczy ochorowiczowskie „szczątkowe zjawisko w rozwoju społecznym".

Tak więc, dlaczego służący chodzi za swoim panem?

Otóż dlatego, że w epoce wojen wszystkich przeciw wszystkim, rycerz zaatakowany od frontu mógł się sam bronić, ale oficyny musiał ubezpieczać zapomocą służby. Wówczas taki tryb chodzenia miał rację bytu, dziś jest — „zjawiskiem szczątkowem".

Dlaczego mężczyzna podaje kobiecie prawą rękę?

W czasach barbarzyńskich mężowie niekiedy bijali żony. Gdy więc który z nich chciał okazać swej połowie usposobienie przychylne, wsuwał jej prawą rękę pod ramię, jakby mówiąc: „Widzisz przecież, że ci teraz nic nie zrobię".

Dlaczego kochanek klęka przed ubóstwianą?

Dawniej penitent, skazany na ucięcie głowy, klękał, aby swemu oprawcy zrobić wygodę. W czasach liberalnych kochankowie zużytkowali to na własną korzyść, dając do zrozumienia pannom, że już dla nich całkiem stracili głowy.

A dlaczego gospodarz wychodzi za gośćmi?

Jest to znowu zjawisko szczątkowe, jasno dowodzące, że ongi gospodarze wobec przyjaciół byli mniej pewni swoich naczyń i garderoby w przedpokoju.

Widzimy więc, że były epoki, w których dzisiejsze „zjawiska szczątkowe" posiadały treść pełną życia. Zdaje się, że i wiele dzisiejszych treściwych faktów stanie się kiedyś tylko szczątkowemi. Umysły wyższe przewidują tę ewentualność, i z tego powodu mamy ludzi, którzy już w naszych czasach płacenie — np. weksli w terminie — uważają za zjawisko szczątkowe.

Najmniej domyślny czytelnik odgadnie teraz, że powinszowania noworoczne należą do zjawisk szczątkowych i że są tylko odblaskiem wypadków, przy których ludzie wypowiadali słowa: „Bóg ci daj szczęście!" — z pulsem przyśpieszonym, z temperaturą podniesioną, z okiem iskrzącem się pod wpływem wezbranego uczucia.

Ale jakie to były wypadki, jacy ludzie, jakie uczucia?... Kto dziś wie! Gdyby można zebrać ich rozsypane popioły, ocucić zastygłe życie i zapytać... Usłyszelibyśmy może niejedną ciekawą historję, niejedną pożyteczną naukę.

Jeżeli kiedy, czytelniczko, napotkasz młodzieńca, którego twoje oczki, twoje dołki na twarzy, twój zresztą biust — przyprawią o lekki zawrót głowy i inne chorobliwe przypadłości... Jeżeli znajdziecie się kiedy w altance... Jeżeli on znacznie mówić zwięźle, krótko i bez sensu...

Wówczas pozwól, aby cię wziął za rączkę, i zapytaj go, niech ci wyjaśni: w jakim to dniu wszelakie życzenia miały cechę szczerości?

Później zapisz sobie ten dzień, abyś wiedziała i w zgrzybiałej starości wnukom swoim objaśnić potrafiła, kiedy się to zaczął nowy rok dla świata. Nie ten nowy rok, który zaszuszeni astronomowie oznaczają zapomocą lunet południkowych i zegarów, wybijających sekundy, ale ten, w którym można było wierzyć słówkom, choćby przesadnie życzliwym.

Trwa to bardzo krótko. Optyczna oś południkowej lunety i noworoczna gwiazda ledwie przez mgnienie oka formują jedną linję prostą, ale pamięta się takie rzeczy, ach! jak długo. Dzięki właśnie temu — ludzie posiadają kalendarz.

Nim jednak dla ciebie nadejdzie nowy rok, zechciej tymczasem posłuchać niżej przytoczonego wyjaśnienia życzeń.

Twój zakochany zrobiłby to niezawodnie dokładniej, no — ale co on, to nie ja...

Najdawniejszym bogaczem świata był Ofir. Ziemie jego na tydzień drogi ciągnęły się wzdłuż Tygru. Miał 2000 niewolników, nad nimi 100 ekonomów i włodarzy i wielką moc bydła.

Działo się to wkrótce po wygnaniu człowieka z raju. Słońce, które z orszakiem planet uchodzi około 60 miljonów mil rocznie, biegnąc wciąż naprzód, nie zdążyło jeszcze wyjść za obrąb przestrzeni pierwotnej. Nie widzieli już ludzie ówcześni tego miejsca, skąd przylatują i dokąd odlatują dusze, i wielu z nich przestało wierzyć w życie wiekuiste, a także w nagrody i kary. Miejsce to skryło się już za gwiazdami. Ale przy dniu pogodnym jeszcze można było widzieć w niebie Jehowę, siedzącego na tronie złotym z jaspisowemi kolumnami. Dokoła — wyżej i niżej (tak się zdawało patrzącym z ziemi) wisiały wagi zasług ludzkich. Gdy kto umierał, wagi jego znikały. Gdy się kto rodził, wagi jego zawieszano, a wtedy talerz, na którym leżały *skarby doczesne*, i ten, na którym były *skarby wieczne* — stał w równej mierze. Dopiero z biegiem życia jeden albo drugi talerz przeważał.

Ponieważ jednak życie wiekuiste stracono z oczu, a życie doczesne w owych czasach było piękne, więc każdy modlił się o skarby znikome i tem więcej był rad, im bardziej szala jego na stronę doczesną przeważała. Tylko ubodzy, którzy ani jednej palmy nie posiadali na własność, i niewolnicy, których bito, widzieli na niebie wielką obfitość skarbów wiecznych i płakali nad sobą.

Waga Ofira co rok mocniej pochylała się w stronę majątku doczesnego, i wszyscy mu zazdrościli, a Ofir sam był kontent.

Pewnego dnia (miał Ofir już lat 120 i chodząc opierać się musiał na prawnukach), ekonomowie i włodarze jego złożyli mu rachunki otatnich zbiorów.

Było 20 000 owiec, 10 000 bydła, 4000 wielbłądów, 3000 niewolników, 500 osłów, 100 000 miar ryżu, 10 000 miar oliwy i nieprzebrane mnóstwo innych rzeczy. Każdy sykl wypożyczony przynosił bogaczowi sto syklów, a kto procentu nie płacił, stawał się jego niewolnikiem.

Kupcy z Zachodu, którzy u Ofira kupowali ryż, deski cedrowe i sierść zwierząt, zeznali pod przysięgą, że takiego jak on bogacza nie było jeszcze na ziemi.

I Ofir cieszył się. A gdy słońce zaszło, wsparty na dwu prawnukach, poszedł spać do izby, która zamiast dachu miała szkarłatny namiot nad sobą.

Był to dla Ofira dzień wielki, lecz dla niewolników — jak inne.

Gdy powiał gorący wiatr od południa i rozsunął makaty, bogacz widział zdaleka ognie zapalone przy młynach, które stu mocno okutych niewolników obracało. A jeżeli który ustał albo chciał wody zaczerpnąć z kałuży dla zmoczenia warg spiekłych, włodarze siekli go tęgiemi batami od stóp do głowy. I całą noc słychać było w tamtej stronie turkot młynów, szczęk łańcuchów, chlastanie batami i wycie niewolników. Czasami tylko młyn nagle stawał, co było znakiem, że jaki niewolnik wyzionął ducha, a wtedy jego wagi zdejmowano z nieba.

Gdy powiał chłodniejszy wiatr od północy i rozsunął makaty, bogacz widział w tamtej stronie długi szereg jaskiń, gdzie spali niewolnicy. Stamtąd dolatywały go chrapania znużonych pracą, płacz matek i kwilenie niemowląt. Czasami który człowiek, przywalony innym, bo było ciasno w jaskiniach, zrywał się ze snu i wydobywał się nawierzch, a wtedy klęli go i potrącali inni, że im spać nie daje. Czasem spadał który w obrzydłą wilgoć i topiąc się ryczał. Innym złe robactwo zasnąć nie pozwalało, i ci siedząc rozmawiali o lepszych czasach.

Niekiedy na niebie ukazywały się nowe wagi, na których skarby wieczne i skarby doczesne stały w równej mierze. Wtedy Ofir wiedział, że mu przybywa jeden niewolnik. Rozpamiętując zaś co widział i słyszał, rzekł do siebie, że wszystko jest dobrze.

Chciał się modlić za tyle dobrodziejstw i podniósł oczy ku niebu. Tam na złotym tronie siedział wielki Jehowa, z obliczem spokojnem, i patrzał daleko, daleko, aż gdzie błyskawice spojrzeń jego stwarzały nowe piętra nieskończoności i światy przeogromne.

Wtedy pomyślał Ofir:

„Co będzie, jeżeli Pan na mnie spojrzy? Czy pod jego wzrokiem nie rozpadłaby się w proch ziemia cała?".

Wtedy zobaczył nad głową Wszechmogącego wagi z napisem: „Wagi Ofira". Jeden ich talerz, ze „skarbami wiecznemi", był tak lekki, że unosił się w górę aż tam, gdzie już nic nie było. Drugi talerz ze „skarbami doczesnemi" zdawał się wciąż pochylać nad zamyślonem czołem Stwórcy. Ile razy który niewolnik jęknął, albo bat chlasnął, albo kobieta zapłakała — tyle razy talerz „skarbów doczesnych" pochylał się mocniej, aż gięła się belka wagi.

Jeszcze chwila, a wagi Ofirowe potrącą Przedwiecznego...

Bogacz struchlał i uczuł straszny ból. Zdawało mu się, że najmocniej poraniony niewolnik, przysypany w swojej kałuży mrowiskiem robactwa — jest szczęśliwszy od niego.

A tymczasem młyn turkotał, dzwoniły łańcuchy, wyli ludzie, i wagi Ofirowe spadały wciąż niżej.

Na wschodzie ukazał się biały rąbek. Słońce nie mogło wejść nad ziemię, z obawy aby nie zobaczyć, jak Pana potrącą wagi bogacza. Drzewa stuliły liście, ptactwo upadło na ziemię, a dzikie zwierzęta kryły oblicza swoje w piasku pustyni.

Cały świat czekał na jakieś wielkie nieszczęście.

Wtedy Ofir szepnął zsiniałemi ustami:

— Całoroczny dochód mój oddaję niewolnikom...

Na niebie waga drgnęła, i talerz skarbów doczesnych poszedł nieco w górę, choć daleko mu było do skarbów wiecznych.

Świat odetchnął, i pokazał się skrawek słońca.

Ofir zwołał ekonomów i kazał wszystkie roboty na dzień dzisiejszy wstrzymać, a potem sprowadzić niewolników przed siebie.

Waga podniosła się znowu w górę.

Gdy przyszli zdziwieni i zatrwożeni niewolnicy, Ofir rzekł do nich:

— Będziecie wykąpani dziś w wodzie czystej, a rany wasze będą wytarte oliwą...

Wagi szły w górę.

— Zamiast świńskiej żołędzi, jeść będziecie mąkę. Łańcuchy zdejmą z was i bić przestaną. Dostaniecie płótna dla siebie i żon waszych i po dwa sykle pieniędzy.

Wagi szły w górę.

Niewolnicy z początku milczeli z bojaźni, czy ich pan nie zwarjował? Ale gdy poczęto rozdawać im mąkę, oliwę, płótno i po dwa sykle pieniędzy, rozległ się okrzyk trzech tysięcy poranionych ludzi:

— Niech cię Bóg błogosławi... Niech ci da szczęście!...

Wagi wciąż szły do równej miary, i już widać było talerz „skarbów wiecznych" — choć jeszcze bardzo wysoko.

Niewolnicy rozbiegli się do pobliskiego miasteczka i poczęli kupować zabawki dla dzieci. Ten chwytał batożek, inny — świstawkę glinianą, inny — papierowego kozaka albo grzechotkę.

Gdy zaś wrócili do swoich jaskiń, usłyszano rzecz niezwykłą. Oto zamiast płaczu niewiast i kwilenia niemowląt, rozległy się śmiechy, krzyki, strzelania z batożków i grzechotanie.

Waga Ofira spadła nagle do równej miary, i bogacz stał się jak dziecię, które przychodząc na świat, tyle posiada skarbów doczesnych ile wiecznych.

Aż Jehowa, którego uszu dolatywały tylko płacz i skargi, usłyszawszy w ziemi Ofira, śmiechy, błogosławieństwa, świstanie i grzechotanie dzieci — zadziwił się.

I oderwawszy wszechmocny wzrok swój od nieskończoności, w którą był zapatrzony, spojrzał na Ofira.

Starzec padł, jakby w niego sto gromów uderzyło, i już nie podniósł się. Duszę jego, niewinną jak dziecię, porwał wicher nadziemski i odniósł w odległą krainę, gdzie Adam i Ewa zażywają wiekuistej młodości, gdzie litościwy Abel tuli na własnej piersi łzami zalanego bratobójcę Kaina.

Przygoda Ofira stała się sławna na cały świat, i przez długi czas panowała po nim na ziemi bojaźń boska.

Na pamiątkę zaś, synowie, wnuki i prawnuki Ofira, każdego roku po zbiorach i rachunkach, dawali niewolnikom swoim dzień wypoczynku i obsypywali ich darami, przyjmując wzamian modlitwy, błogosławieństwa i życzenia wszelkiej pomyślności.

Ale słońce z orszakiem planet biegnie wciąż naprzód z prędkością 60 miljonów mil rocznie, skutkiem tego ludzie stracili z oczu miejsce, skąd przychodzą i dokąd wracają dusze, a nadto, co gorsza, nie widzą już Jehowy i onych wag ze skarbami doczesnemi i wiecznemi.

Wieść o przygodzie Ofira, biegnąc przez tysiące pokoleń, ucichła. Jego zaś dary dla niewolników, z miłości ku Jehowie rozdane, stały się później „zjawiskiem szczątkowem w życiu społeczeństw".

Bogaci gratyfikują i dziś na Nowy Rok, odtrąciwszy poprzednio właściwą sumę z zarobków. Niewolnicy i dziś błogosławią ich, w duszy przeklinając.

A jak się tam dzieje z wagami na niebie: który talerz mocniej przeważa? Kto to wie!...

Wszechmocny też, do którego uszu dolatuje mało okrzyków radosnych, lecz dużo klątw i płaczu, nie spogląda już na ziemię. Dał przecie światu prawa niezawodne, ludziom przebiegły rozum i współczucie — czegoż więc chcą od Niego?

Siejcie na ziemi, co wam lepiej do smaku przypadnie, pamiętajcie o przyszłych zbiorach. Miejcie jednak tyle rozsądku i wstydu, ażeby nie dziwić się kiedyś owocom własnej pracy i pożądań.

Z LEGEND DAWNEGO EGIPTU

Patrzcie, jak marne są ludzkie nadzieje wobec porządku świata! patrzcie, jak marne są wobec wyroków, które ognistemi znakami wypisał na niebie Przedwieczny!...

Stuletni Ramzes, potężny władca Egiptu, dogorywał. Na pierś mocarza, przed którego głosem pół wieku drżały miljony, padła duszą zmora i wypijała mu krew z serca, siłę z ramienia, a chwilami nawet przytomność z mózgu. Leżał, jak powalony cedr, wielki faraon na skórze indyjskiego tygrysa, okrywszy nogi tryumfalnym płaszczem króla Etjopów. A surowy nawet dla siebie, zawołał najmędrszego lekarza ze świątyni w Karnaku i rzekł:

— Wiem, że znasz tęgie lekarstwa, które albo zabijają, albo odrazu leczą. Przyrządź mi jedno z nich, właściwe mojej chorobie, i niech mi się to raz skończy...tak czy owak.

Lekarz wahał się.

— Pomyśl, Ramzesie, — szepnął, — że od chwili twego zstąpienia z wysokich niebios Nil wylewał już sto razy; możeż ci zadać lekarstwo, niepewne nawet dla najmłodszego z twoich wojowników?

Ramzes aż usiadł na łożu.

— Snać jestem bardzo chory, — zawołał, — kiedy ty, kapłanie, ośmielasz się dawać mi rady! Milcz i spełnij, com kazał. Żyje przecież trzydziestoletni wnuk mój i następca, Horus; Egipt zaś nie może mieć władcy, któryby nie dosiadł wozu i nie dźwignął oszczepu.

Gdy kapłan drżącą ręką podał mu straszne lekarstwo, Ramzes wypił je, jak spragniony pije kubek wody; potem zawołał do siebie najsłynniejszego astrologa z Teb i kazał szczerze opowiedzieć, co tam pokazują gwiazdy.

— Saturn połączył się z Księżycem, — odparł mędrzec, — co zapowiada śmierć członka twojej dynastji, Ramzesie. Źle zrobiłeś, pijąc dzisiaj lekarstwo, bo puste są ludzkie plany wobec wyroków, które na niebie zapisuje Przedwieczny.

— Naturalnie, że gwiazdy zapowiedziały moją śmierć — odparł Ramzes. — I kiedyż to może nastąpić? — zwrócił się do lekarza.

— Przed wschodem słońca, Ramzesie, albo będziesz zdrów jak nosorożec, albo twój święty pierścień znajdzie się na ręce Horusa.

— Zaprowadźcie — rzekł Ramzes cichnącym już głosem — Horusa do sali faranów; niech tam czeka na moje ostatnie słowa i na pierścień, ażeby w sprawowaniu władzy ani na chwilę nie było przerwy.

Zapłakał Horus (miał on serce pełne litości) nad bliską śmiercią dziada; ale że w sprawowaniu władzy nie mogło być przerwy, więc poszedł do sali faraonów, otoczony liczną zgrają służby.

Usiadł na ganku, którego marmurowe schody biegły w dół, aż do rzeki, i pełen nieokreślonych smutków, przypatrywał się okolicy.

Właśnie księżyc, przy którym tliła się złowroga gwiazda Saturn, złocił spiżowe wody Nilu, na łąkach i ogrodach malował cienie olbrzymich piramid i na kilka mil wokoło oświetlał całą dolinę. Mimo późnej nocy, w chatach i gmachach płonęły lampy, a ludność pod otwarte niebo wyszła z domów. Po Nilu snuły się łódki gęsto, jak w dzień świąteczny; w palmowych lasach, nad brzegami wody, na rynkach, na ulicach i obok pałacu Ramzesa falował niezliczony tłum. A mimo to, była cisza taka, że do Horusa dolatywał szmer wodnej trzciny i jękliwe wycie szukających żeru hien.

— Czemu oni tak się gromadzą? — spytał Horus jednego z dworzan, wskazując niezmierzone łany głów ludzkich.

— Chcą w tobie, panie, przywitać nowego faraona i z twoich ust usłyszeć o dobrodziejstwach, jakie im przeznaczyłeś.

W tej chwili pierwszy raz o serce księcia uderzyła duma wielkości, jak o brzeg stromy uderza nadbiegające morze.

— A tamte światła co znaczą? — pytał dalej Horus.

— Kapłani poszli do grobu twej matki Zefory, ażeby zwłoki jej przenieść do faraońskich katakumb.

W sercu Horusa nanowo zbudził się żal po matce, której szczątki — za miłosierdzie, okazywane niewolnikom — srogi Ramzes pogrzebał między niewolnikami.

— Słyszę rżenie koni, — rzekł Horus, nasłuchując, — kto wyjeżdża o tej godzinie?

— Kanclerz, panie, kazał przygotować gońców po twojego nauczyciela, Jetrona.

Horus westchnął na wspomnienie ukochanego przyjaciela, którego Ramzes wygnał z kraju za to, że w duszy wnuka i następcy szczepił odrazę do wojen a litość dla uciśnionego ludu.

— A tamto światełko za Nilem?...

— Tamtem światłem, o Horusie! — odparł dworzanin — pozdrawia cię z klasztornego więzienia wierna Berenika. Już arcykapłan wysłał po nią łódź faraońską; a gdy święty pierścień błyśnie na twojej ręce, otworzą się ciężkie drzwi klasztorne, i powróci do ciebie, stęskniona i kochająca.

Usłyszawszy takie słowa, Horus już o nic nie pytał; umilkł i zakrył oczy ręką.

Nagle syknął z bólu.

— Co ci jest, Horusie?

— Pszczoła ukąsiła mię w nogę — odparł pobladły książę.

Dworzanin przy zielonawym blasku księżyca obejrzał mu nogę.

— Podziękuj Ozyrysowi, — rzekł, — że to nie pająk, którego jad o tej porze bywa śmiertelny.

O! jakże marne są ludzkie nadzieje wobec niecofnionych wyroków...

W tej chwili wszedł wódz armji i skłoniwszy się Horusowi, powiedział;

— Wielki Ramzes, czując, że mu już stygnie ciało, wysłał mnie do ciebie z rozkazem: „Idź do Horusa, bo mnie niedługo na świecie, i spełniaj jego wolę, jak moją spełniałeś. Choćby kazał ci ustąpić Górny Egipt Etjopom i zawrzeć z tymi wrogami sojusz braterski, wykonaj to, gdy mój pierścień ujrzysz na jego ręcę; bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys".

— Nie oddam Egiptu Etjopom, — rzekł książę, — ale zawrę pokój, bo mi żal krwi mego ludu; napisz zaraz edykt i trzymaj w garści konnych gońców, aby, gdy błysną pierwsze ognie na cześć moją, polecieli w stronę południowego słońca i zanieśli łaskę Etjopom. I napisz jeszcze drugi edykt, że od tej godziny aż do końca czasów żadnemu jeńcowi nie ma być wyrywany język z ust jego na polu bitwy. Tak powiedziałem.

Wódz upadł na twarz, a potem cofnął się, aby pisać rozkazy; książę zaś polecił dworzaninowi znowu obejrzeć swoją ranę, gdyż bardzo go bolała.

— Trochę spuchła ci noga, Horusie — rzekł dworzanin. — Cóżby się stało, gdyby zamiast pszczoły ukąsił cię pająk!...

Teraz szedł do sali kanclerz państwa i skłoniwszy się księciu, mówił;

— Potężny Ramzes, widząc, że już mu się wzrok zaćmiewa, odesłał mnie do ciebie z rozkazem: „Idź do Horusa i ślepo spełniaj jego wolę. Choćby ci kazał spuścić z łańcucha niewolników, a lud obdarować wszystką ziemią, uczynisz to, gdy zobaczysz na jego ręce mój święty pierścień, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys".

— Tak daleko nie sięga serce moje — rzekł Horus. — Ale zaraz napisz mi edykt, jako ludowi zniża się czynsz dzierżawny i podatki o połowę, a niewolnicy będą mieli trzy dni na tydzień wolne od pracy i bez wyroku sądowego nie będą bici kijem po grzbietach. I jeszcze napisz edykt, odwołujący z wygnania mego nauczyciela, Jetrona, który jest najmędrszy i najszlachetniejszy z Egipcjan. Tak powiedziałem.

Kanclerz upadł na twarz, lecz nim zdążył cofnąć się dla napisania edyktów, wszedł arcykapłan.

— Horusie, — rzekł, — lada chwila wielki Ramzes odejdzie do państwa cieniów, i serce jego na nieomylnej szali zważy Ozyrys. Gdy zaś święty pierścień faraonów błyśnie na twojej ręce, rozkazuj, a słuchać cię będę, choćbyś obalić miał cudowną świątynię Amona, bo przez usta władców mówi nieśmiertelny Ozyrys.

— Nie burzyć, — odparł Horus, — lecz wznosić będę nowe świątynie i zwiększać skarbiec kapłański. Żądam tylko abyś napisał edykt o uroczystem przewiezieniu zwłok matki mojej Zefory do katakumb, i drugi edykt...o uwolnieniu ukochanej Bereniki z klasztornego więzienia. Tak powiedziałem.

— Mądrze poczynasz — odparł arcykapłan. — Do spełnienia tych rozkazów wszystko już przygotowane, a edykty zaraz napiszę; gdy ich dotkniesz pierścieniem faraonów, zapalę tę oto lampę, aby zwiastowała ludowi łaski, a twojej Berenice wolność i miłość.

Wszedł najmędrszy lekarz z Karnaku.

— Horusie, — rzekł — nie dziwi mnie twoja bladość, gdyż Ramzes, dziad twój, już kona. Nie mógł znieść potęgi lekarstwa, którego mu dać nie chciałem, ten mocarz nad mocarze. Został więc przy nim tylko zastępca arcykapłana, aby, gdy umrze, zdjąć święty pierścień z jego ręki i tobie go oddać na znak nieograniczonej władzy. Ale ty bledniesz coraz mocniej, Horusie?... — dodał.

— Obejrzyj mi nogę — jęknął Horus i upadł na złote krzesło, którego poręcze wyrzeźbione były w formę głów jastrzębich.

Lekarz ukląkł, obejrzał nogę i cofnął się przerażony.

— Horusie, — szepnął, — ciebie ukąsił pająk bardzo jadowity.

— Miałżebym umrzeć?...w takiej chwili?... — spytał ledwie dosłyszalnym głosem Horus.

A później dodał:

— Prędkoż to może się stać?...powiedz prawdę...

— Nim księżyc schowa się za tę oto palmę...

— Ach, tak!... A Ramzes długo jeszcze żyć będzie?...

— Czy ja wiem?... Może już niosą ci jego pierścień.

W tej chwili weszli ministrowie z gotowemi edyktami.

— Kanclerzu! — zawołał Horus, chwytając go za rękę — czy, gdybym zaraz umarł, spełnilibyście moje rozkaty?

— Dożyj, Horusie, wieku twego dziada! — odparł kanclerz. — Lecz gdybyś nawet zaraz po nim stanął przed sądem Ozyrysa, każdy twój dekret będzie wykonany, byleś go dotknął świętym pierścieniem faraonów.

— Pierścień? — powtórzył Horus — ale gdzie on jest?...

— Mówił mi jeden z dworzan, — szepnął naczelny wódz, — że wielki Ramzes już wydaje ostatnie tchnienie.

— Posłałem do mego zastępcy, — dodał arcykapłan, — aby natychmiast, gdy Ramzesowi serce bić przestanie, zdjął pierścień.

— Dziękuję wam!.. — rzekł Horus. — Żal mi... ach, jak żal... Ale przecie nie wszystek umrę... Zostaną po mnie błogosławieństwa, spokój, szczęście, ludu, i...moja Berenika odzyska wolność... Długo jeszcze?... — spytał lekarza.

— Śmierć jest od ciebie na tysiąc kroków żołnierskiego chodu — odparł smutno lekarz.

— Nie słyszycie?...nikt stamtąd nie idzie?... — mówił Horus.

Milczenie.

Księżyc zbliżał się do palmy i już dotknął pierwszych jej liści; miałki piasek cicho szeleścił w klepsydrach.

— Daleko?... — szepnął Horus.

— Osiemset kroków — odparł lekarz; — nie wiem, Horusie, czy zdążysz dotknąć wszystkich edyktów świętym pierścieniem, choćby ci go zaraz przynieśli...

— Podajcie mi edykty — rzekł książę, nadsłuchując, czy nie biegnie kto z pokojów Ramzesa. — A ty, kapłanie, — zwrócił się do lekarza, — mów, ile mi życia zostanie, abym mógł zatwierdzić przynajmniej najdroższe mi zlecenia.

— Sześćset kroków — szepnął lekarz.

Edykt o zmniejszeniu czynszów ludowi i pracy niewolników wypadł z ręki Horusa na ziemię.

— Pięćset...

Edykt o pokoju z Etjopami zsunął się z kolan księcia.

— Nie idzie kto?...

— Czterysta... — odpowiedział lekarz.

Horus zamyślił się, i...spadł rozkaz o przeniesieniu zwłok Zefory.

— Trzysta...

Ten sam los spotkał edykt o odwołaniu Jetrona z wygnania.

— Dwieście...

Horusowi zsiniały usta. Skurczoną ręką rzucił na ziemię edykt o niewyrywaniu języków wziętym do niewoli jeńcom, a zostawił tylko...rozkaz oswobodzenia Bereniki.

— Sto...

Wśród grobowej ciszy usłyszano stuk sandałów. Do sali wbiegł zastępca arcykapłana. Horus wyciągnął rękę.

— Cud... — zawołał przybyły. — Wielki Ramzes odzyskał zdrowie... Podniósł się krzepko z łoża i o wschodzie słońca chce jechać na lwy... Ciebie zaś, Horusie, na znak łaski, wzywa, abyś mu towarzyszył...

Horus spojrzał gasnącym wzrokiem za Nil, gdzie błyszczało światło w więzieniu Bereniki, i dwie łzy, krwawe łzy stoczyły mu się po twarzy.

— Nie odpowiadasz, Horusie?... — spytał zdziwiony posłaniec Ramzesa.

— Czyliż nie widzisz, że umarł? — szepnął najmędrszy lekarz z Karnaku.

Patrzcie tedy, że marne są ludzkie nadzieje wobec wyroków, które Przedwieczny ognistemi znakami wypisuje na niebie...

PLEŚŃ ŚWIATA

Zdarzyło mi się być w Nowej Aleksandrji z pewnym botanikiem. Siadaliśmy przy Sybilli na ławce, pod olbrzymim kamieniem, porosłym mchami czy pleśnią, które od kilku lat badał mój uczony towarzysz.

Zapytałem: co ciekawego znajduje w przyglądaniu się nieregularnym plamom popielatym, zielonym, żółtym lub rudym?

Popatrzał na mnie z nieufnością, lecz przekonawszy się, że ma przed sobą profana, począł objaśniać.

— Te plamy, które pan widzisz, nie są wcale martwym brudem, lecz zbiorem istot żyjących. Niewidzialne dla gołego oka, rodzą się one, wykonywają ruchy, których nie możemy dostrzec, zawierają związki małżeńskie, wydają potomstwo i wreszcie giną. Co godniejsza uwagi, tworzą one jakby społeczeństwa, które tu widzisz w postaci różnobarwnych plam; uprawiają pod sobą grunta dla następnych pokoleń, rozrastają się, kolonizują niezajęte miejscowości, nawet toczą między sobą walki. Ta popielata plama, duża jak dłoń, była przed dwoma laty nie większa od czterogroszniaka. To malutkie siwe piętno przed rokiem nie istniało i pochodzi od tej wielkiej plamy, która zajmuje szczyt kamienia. Te znowu dwie — żółta i ruda — walczą z sobą. Niegdyś żółta była bardzo rozległa, lecz powoli sąsiadka wyparła ją i zajęła jej miejsce. A spojrzyj na zieloną, jak siwa sąsiadka zapuszcza w nią zagony, ile na zielonem tle widać szarych pasków, punktów i kęp?...

— To coś jak między ludźmi — wtrąciłem.

— No, nie — odparł botanik. — Społeczeństwom tym brakuje języka, sztuk, nauk, świadomości, uczuć; słowem, brakuje im dusz i serc, które my, ludzie, posiadamy. Wszystko się tu dzieje naoślep, mechanicznie, bez sympatji i bez antypatji.

W kilka lat później znalazłem się obok tego samego kamienia w nocy i przy świetle księżyca, przypatrywałem się zmianom, jakie zaszły w formach i rozmiarach różnych pleśni.

Wtem ktoś mnie trącił. Był to mój botanik. Prosiłem go, ażeby usiadł; ale on stanął przede mną w ten sposób, że zasłonił księżyc, i coś szepnął bezdźwięcznym głosem.

Sybilla, ławka i kamień znikły. Uczułem dokoła siebie mdłą jasność i niezmierną pustkę. Gdym zaś odwrócił głowę nabok, ujrzałem niby szkolny globus, błyszczący słabem światłem, tak wielki, jak ów kamień, obok którego byliśmy przed chwilą.

Globus zwolna obracał się, ukazując coraz to nowe okolice. Oto ląd azjatycki z małym półwyspem Europą; oto Afryka, obie Ameryki...

Wpatrzywszy się lepiej, dostrzegłem na zamieszkanych lądach takie same plamy, szare, siwe, zielone i rude, jak na kamieniu. Składały się one z mnóstwa nikłych punkcików, napozór nieruchomych, w istocie ruszających się bardzo leniwie; pojedynczy punkt posuwał się co najwyżej o dwuminutowy łuk w ciągu godziny, i to nie w linji prostej, lecz jakby wahając się około właściwego sobie środka ruchu.

Punkty łączyły się, rozdzielały, ginęły, występowały na powierzchnię globu; lecz wszystkie te zjawiska nie zasługiwały na szczególną uwagę. Poważny charakter miały dopiero ruchy całych plam, które zmniejszały się lub rosły, ukazywały się na nowych miejscach, przesiąkały się nawzajem, lub wypierały z zajmowanych stanowisk.

Glob tymczasem wciąż krążył, i zdawało mi się, że wykonał setki tysięcy obrotów.

— Czy to ma być historja ludzkości? — spytałem stojącego przy mnie botanika.

Skinął głową na znak potwierdzenia.

— Dobrze, ale gdzie są sztuki, wiedza?...

Uśmiechnął się smutnie.

— Gdzie świadomość, miłość, nienawiść, pragnienia?...

— Cha! cha! cha ... — śmiał się cicho.

— Słowem: gdzie tu są ludzkie dusze i serca?...

— Cha! cha! cha ...

Zachowanie się jego oburzyło mnie.

— Kto ty jesteś?... — zapytałem.

W tej chwili znalazłem się napowrót w ogrodzie, obok kamienia, którego niekształtne plamy kąpały się w blaskach księżyca.

Towarzysz mój znikł, alem go już poznał po szyderstwie i melancholji.

BOLESŁAW PRUS.

COSMO RESTAURANT 5-6, North Ways Parade, London, N.W.3
niedaleko Swiss Cottage (stacji kolei podziemnej) tel. PRImrose 2627
Pierwszorzędna kuchnia domowa
Potrawy angielskie, polskie i wiedeńskie
Ciastka domowe Menu od 1/6 zwyż Miła atmosfera
Otwarta od godz. 9 rano Ciepłe potrawy do godz. 11 wieczorem

SLOane 1537
JANE AND JUDY
WYSPECJALIZOWANI W PRZERÓBKACH
Przeróbka sukien, płaszczy, kostjumów, kapeluszy, bielizny.
Szyją z powierzonych im materjałów i chętnie podejmują się nawet najdrobniejszych przeróbek.
Mówi się po francusku, po niemiecku i po hiszpańsku
36, WILTON PLACE, KNIGHTSBRIDGE, LONDON, S.W.1

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO
Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1
zawiadamia o wydaniu książki ze serii: „NAUKA I WYCHOWANIE", zesz. 4
PROGRAM NAUKI
W PUBLICZNYCH SZKOŁACH POWSZECHNYCH TRZECIEGO STOPNIA
str. 474 *Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach* cena 8/-